CENA 20 ZŁ

W numerze: „Struktura neofaszyzmu“

Odra tygodnik

NUMER 26 (135) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 27 CZERWCA 1948 ROKU ROK IV

ELŻBIETA MIŁANCZÓWNA

Z poematu „Pieśń o Śląsku“

I. Inscenizacja

Od słońc wplecionych w transmisję
ziemia stawała się bliższa
gnały nas głodne wiatry
do szybów rozrosłych w przestrzeń.

A teraz kładę te pieśni
niebu w niezgasłej podzięce
zniemiałym ustom przychodni
na chwałę tych co odeszli.

II. Święta Barbara

Modliliśmy się do świętej Barbary.
Zbyt długo.
Podczas okupacji
niebo jak strop obmierzły
huczało przed załamaniem.
Ale Ty brałaś w swe ręce
myśli najmniej dosięgalne
i kiedy kładliśmy stemple
zostałaś naszym sztygarem.

W Warszawie w tym czasie
chodzili po ulicach
bohaterowie
i handlarze złota.
— Nie powiem
których było więcej.
Pod niebem
gdzie sen każdy kończy się wawrzynem
zwykła olszyna
miewa liście spod Grochowa.
— I było pod Żelazną Bramą dosyć
— heroicznych sprzedawców obuwia.

Modliliśmy się do świętej Barbary.
Wszyscy.
— Kto sens modlitwy doceni?
Gdy swoje poznawaliśmy serce
dopiero we słów wcieleniu.

I byłaś bezpatetyczna
Barbaro Śląska i własna
kiedy nas wiodłaś jak światło
na ostateczne wyjście
i w Twoich rękach się stała
bliższa górnicza lampka
— od snów o białych koniach
pijących wodę w Wiśle.

III. Ziemi z której odszedłeś

Na ziemi z której odszedłeś
mowa wstawała liryczna
i była miękka jak piaski,
kiedy przewiała drogami;
i tylko czasem ci rosną
czerwone słońca kurpiowskie
i sosny jak pożegnanie
przeganiające chmurami.

Lecz trzeba było pokochać
ziemię oddaną na nowo
i tylko większą i twardszą
jak los sam nieubłaganą,
i blade niebo północy
nad głową wysoko rozsnuć,
by się rozrosło jak serce
największą ludzką przemianą.

Bo teraz któż cię ustroił
pracą tak wszędzie codzienną,
że nawet sny o potędze
są śmiesznym wojskiem dzieci.
— Pola są zawsze podobne
nad Wisłą i te nad Odrą
i tylko tutaj na Śląsku
ziemię czuje się głębiej.

IV. Pamięć nieujarzmiona

Na Śląsku ziemię czuje się głębiej.
— Kiedy przez miasta przemijam
nanizane jak paciorki na tramwajową linię
mogę wymienić wszystkie nazwy
znane z codziennych biuletynów.
I wiem
— nad Wisłą teraz czytają:
sto tysięcy mechanicznych koni
wprzęgło się w świetlną energię.

Ale ty jesteś przychodniem
i szukasz swojego miejsca;
masz w oczach sto krajobrazów
rzucasz na ekran wszystkie
— liryczny film o Polsce.

Jesteś przychodniem zewsząd.
Pamięć masz wielką jak przeszłość
z niej czerpiesz wiedzę rozstrzeloną
jak linie rzek płynących na północ.

A jednak może kochałaś
z miast stałe jak kameleon
bo tylko brzask i zmierzchy
mieniły się nad powierzchnią.
Może kochałaś człowieka
— uczył nie gonić za blaskiem:
widziałaś jak rosły serca
kiedy stawały się mniejsze.

Bezdomna nadmiarem przestrzeni
— tamto już wszystko odeszło
powracasz najbliżej źródła:
do serca ziemi.
Słuchasz
jak czarny puls wyrzuca
pospieszne krwinki wagonów.
Powierzchnia dorosła nad trudnym natchnieniem
na codzień ma twarz ulic
powleczonych węglowym pyłem.
Żeby ją pojąć
trzeba mieć wyobraźnię ujarzmioną
poziomami pokoleń
które z nich nie wróciły.

Ale ty jesteś przychodniem
— przychodniem spod stu krajobrazów
gdzie wystrzelały zdarzenia
smukłe jak białe narcyzy
i były nazbyt łagodne
zmierzchy liliowe od drżenia
by móc je teraz oddzielić
od lat, za które się modlę.

EGON NAGANOWSKI

Jak postępować z Niemcami

Zapowiedziawszy przy końcu mego poprzedniego artykułu dyskusyjnego („Odra“ nr. 22) próbę odpowiedzi na pytania „Jak postępowaü z Niemcami?“ miałem właściwie zamiar zastanowić się zarówno nad treścią jak i nad formą najwłaściwszego w tym wypadku systemu wychowawczego. Ale gdy się rozejrzałem w nagromadzonym materiale i naszkicowałem zagadnienia, które trzeba by poruszyć doszedłem do przekonania, że wykroczyłbym daleko poza ramy głosu w dyskusji. I dlatego postanowiłem ograniczyć się tymczasem do omówienia ważnej kwestii metod postępowania z Niemcami. Przypominam raz jeszcze, że Osmańczyk nie dowierzając ogółowi narodu niemieckiego jest zwolennikiem metod energicznych, nie cofających się przed przymusem, a Matuszewski stawiając na niemiecką klasę robotniczą i socjalizm sądzi przeciwnie, że nie należy surowością budzić ducha oporu i dlatego radzi dać przebudowanym społecznie Niemcom jeszcze raz szansę. Osmańczyk opowiada się za stosowaniem wobec Niemiec polityki przeciw nim skierowanej, Matuszewski natomiast odrzuca wszelką wrogość do narodu niemieckiego jako takiego. Jeden i drugi twierdzi, że jego koncepcja jest oparta na politycznym realizmie.

Jak łatwo się domyśleć, rozumowania leżące u podstaw sporu między Matuszewskim a Osmańczykiem nie są niczym nowym. Wywodzą się one z czasów pierwszej wojny światowej, a szczególnie od słynnej książki Jacques Bainville'a pt. „Les consequences politiques de la paix (1920) gdzie bystro przewidujący przyszłość historyk energicznie wystąpił przeciw połowiczności traktatu wersalskiego „zbyt łagodnego jak na pewne ciężary, które Niemcom nałożył“. Tej połowiczności pragnęli uniknąć publicyści i pisarze anglosascy podczas drugiej wojny światowej, zajmując już samymi tytułami swych prac jasno określone stanowiska. Jedni, mniej liczni, idąc śladami lorda Vansittarta pisali „Germany will try it again“ („Niemcy znowu spróbują“ — Sigridy Schultz i „They are all guilty — punish them“ („Oni wszyscy są winni — ukarzcie ich“ Williama Shirera) a drudzy nawoływali „Destroy nazism — save the people“ („Zniszczcie nazizm, uratujecie naród“ — Pierre van Paasena) lub wprost głosili „Germany must be salvaged“ („Niemcy muszą być uratowane“ — Doroty Thompson).

Czy okazać zaufanie?

Po wojnie dyskusja nad zasadniczym kierunkiem postępowania z Niemcami oczywiście jeszcze bardziej się wzmogła, obejmując wiele krajów, które przed tym nie mogły zabrać głosu. Dotyczy to również samych Niemiec. Autorzy niemieccy stanowią — rzecz zrozumiała — największy procent zwolenników łagodności i ścisłego rozróżniania „złych“ nazistów i „dobrych“ w gruncie rzeczy Niemców. Ale naprawdę uczciwych, nie budzących zastrzeżeń pisarzy jest wśród niemieckich rzeczników wyrozumiałości bardzo niewielu. Wypada do nich zaliczyć przede wszystkim omówionego już dość szczegółowo w „Złudzeniach i faktach“ Hansa Windischa.

Jest on przekonany, że kuracja Niemców może się udać tylko lekarzom obdarzonym wielką rozstropnością, mądrością i dobrocią. „Trzeba dać narodowi niemieckiemu — wywodzi („Wódz i uwiedzeni“, 1946) — możność odzyskania godności w oczach własnych i cudzych“, „zaufanie jest tym, czego potrzebuje“, „dać narodowi niemieckiemu szansę, znaczy usunąć ze świata zarzewie niepokoju. Tak winna brzmieć formuła dla realistycznie myślącego męża stanu“. Windisch zapomina tu tylko, że sam uprzednio ukazał niemiecki charakter w takim świetle, iż „zaufanie“ musi się wydawać rzeczą mocno ryzykowną. Niemniej nie ulega wątpliwości, że stronnicy życzliwej perswazji dysponują jednym bardzo ważnym argumentem. Jest nim niepozbawione słuszności stwierdzenie, że demokracji nie można uczyć dyktatorskimi metodami. „Wychowanie w duchu szeroko pojętej fizycznej i psychicznej wolności — czytamy w berlińskim tygodniku „Ja“ („Krise der Bekehrung“, 1. 7. 47) — jest istotnym elementem odnowy, o ile oczywiście słowo reedukacja ma mieć w ogóle jakiś sens. Lecz właśnie tego najpilniejszego ze wszystkich zadań nie da się wypełnić z pałką w ręku. Czy można ze spętanym przeprowadzić coś w rodzaju musztry wolności?“. Podobnie wypowiada się też Walther von Hollander („Die verstockten Deutschen“, Norwestdeutsche Hefte nr 3/4, 1947), choć z drugiej strony konkluduje, że jednak bez pewnej twardości się nie obędzie, szczególnie jeżeli chodzi o wbicie Niemcom w głowę, że ponoszą winę za to, co się stało. Inni znów są właśnie w tej sprawie odrotnego zdania utrzymując, że chęć narzucenia gwałtem poczucia zbiorowej winy wywołuje opór, torpeduje wszelkie możliwości wzbudzania skruchy i żalu. „Doznawanie nacisku — pisze w jednym z zeszłorocznym numerów „Die neue Zeitung“ Luise Rinser, przeprowadzając analogię z wychowywaniem dzieci — przyczynia się do powstania chęci zemsty“. Ostrymi środkami niczego się u krnąbrnych dzieci i narodów nie zwojuje, umacnia się je tylko w zgubnym nastawieniu.

W tym samym kierunku idą wywody Szwajcara Hansa Zbindena („Um Deutschlands Zukunft“, Zurych 1947). Stara się on udowodnić, że surowość postępowania z Niemcami wywołała skutek wręcz przeciwny niż ten, który chciało się osiągnąć, a mianowicie niechybny wzrost nacjonalizmu. Przedstawicielem kół francuskich pokrewnych rozumowaniem naszemu Grzybowskiemu jest m. in. Daniel Guerin, autor pracy p. t. „La peste brune a passé par la...“ (Paryż 1945 — p. omówienie Rogalskiego w „Przeglądzie Zachodnim“, luty br.) Widzi on między innymi Niemcami a hitlerowcami „przepaść głębszą niż ocena“ zaliczając do pierwszych prześladowanych przez faszyzm proletariuszy. Na podstawie takiego przekonania domaga się w imię żywego już dziś rzekomo w Niemczech „poczucia solidarności międzynarodowej eksploatowanych“ zaufania dla niemieckich robotników, z którymi należy wspólnie budować Socjalistyczne Stany Zjednoczone Europy. Nietrudno oczywiście dostrzec, że Guerin idzie w swym zaufaniu znacznie dalej od wiele ostrożniejszego Grzybowskiego czy Matuszewskiego.

Zwraca wreszcie uwagę, że szereg Francuzów np. Albert Beguin („La faiblesse d'Allemagne“ Paryż 1946) i katolik - socjalista EmanuelMounier (redaktor pisma „Esprit“, którego nr. 6 z ub. r. był poświęcony ankiecie pt. „Les Allemands parlent de l'Allemagne“) zdając sobie sprawę z winy olbrzymiej większości Niemców, oceniając bardzo krytycznie ich narodowy charakter, dąży jednak do nawiązania z nimi bliższych stosunków, ponieważ praca reedukacyjna wymaga obopólnego zaufania i szczerości. Zaznaczają oni, że problem niemiecki może być rozwiązany pozytywnie jedynie w ramach pilitycznej i duchowej wspólnoty narodów europejskich. Uważają za konieczne, by skończyć z negatywną polityką samej kontroli i rządów policyjnych (H. Humblot w nr. 3 „Esprit“ z ub. r.). Niemcom trzeba dać nową wielką ideę. Tu przychodzi na myśl następujące sformułowanie Windischa dotyczące zwalczania duchowych pozostałości hitleryzmu“: „Jakakolwiek idea — pisze — może jedynie powoli obumrzeć, przenigdy nie da się jej zniszczyć przemocą. Prawa i czołgi są wobec niej bezsilne... Idea, przekonanie ustąpi wyłącznie przed przekonaniem innym“.

Czy wychowywać twardą ręką?

Wśród licznych zwolenników „twardej ręki“ w stosunku do Niemiec napotykamy przede wszystkim na lorda Roberta Vansittarta. Ponieważ w „Złudzeniach i faktach“ przytoczyłem już jego poglądy z książki „Wieczne Niemcy“, ograniczę się obecnie do kilku cytat z przedmowy, którą Vansittart napisał do dzieła pt. „Germany from defeat to conquest, 1913—1933“ („Niemcy od klęski do podboju“, Londyn 1945) pióra W. M. Knight - Patersona. „Każdy kto sądzi — czytamy we wspomnianej przedmowie — że Niemcy są podobni do innych ludzi, a są tylko źle kierowani, jest wrogiem swych bliźnich... Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wpadają od czasu do czasu w obłąkanie na temat Niemców i Niemiec“. Potem Vansittart opisuje na podstawie osobistych wspomnień zręczne i ukoronowane powodzeniem zabiegi „dobrego“ Niemca Stresemana, zmierzające do ostatecznego złagodzenia kursu wobec Niemiec ze strony mocarstw zachodnich i tak kończy: „Po ukazaniu się tej książki każdy... winien uświadomić sobie, kto dwukrotnie usiłował zadusić ludzkość. Odpowiedź brzmi: wszystkie części narodu niemieckiego. W tej książce jest historia i są dowody. Fakty w niej zawarte ukazują potwora, któremu przez wiele lat po tej wojnie przeciwstawiać będziemy musieli ciągły wysiłek i czujność, konieczne by go obłaskawić“.

Zdecydowanym przeciwnikiem rozróżnienia „dobrych“ i „złych“ Niemców i płynących stąd konsekwencji jest też emigracyjny moralista, pedagog i publicysta niemiecki prof. F. W. Foerster. Napisał on jeszcze rzed wojną pracę pt. „Europa und die deutsche Frage“ („Europa a zagadnienie niemieckie“ Lucerna 1937, skróc. polskie wyd. Warszawa 1939), a w „Neue Zürcher Zeitung“, w numerze z dnia 27. X. 46 rozpętał długą dyskusję artykułem: „Warnung vor Illusionen in der deutschen Frage“ („Ostrzeżenie przed złudzeniami w sprawie niemieckiej“). Foerster wcale się z tym nie kryje, że dokładne przenicowanie historii i psychiki Niemców doprowadziło go do głębokiego pesymizmu. Za punkt wyjścia do wspomnianego artykułu posłużył Foersterowi apel Churchilla, by Francja „w heroicznym akcie zapomnienia“ spróbowała wraz z odrodzonymi w czystszej postaci Niemcami położyć trwałe podwaliny pod gmach zachodniej kultury. Otóż samą możliwość tej „czystszej postaci“ Foerster stanowczo odrzuca. Czyż naród niemiecki — zapytuje — utwierdzony przez łagodność Wersalu w butnym przeświadczeniu o swej ważności i wartości, nie oczyściwszy jeszcze rąk a tym mniej duszy z przelanej krwi, nie poddał się bez protestu Hitlerowi, który jedynie zdemaskował jego przeżartą zepsuciem substancję? Czyż Niemcy nie przystępni dla żadnej rozsądnej perswazji nie śnią dalej swego snu o mocy i przemocy? Czyż wszyscy prawie emigranci nie przekonali nas, że przeprowadzenie podziału na nazistów i antynazistów jest zgubną naiwnością? Niemcy nie mogą być partnerem, z którym się rozmawia na równej płaszczyźnie. Należy ich trzymać w ryzach „wzbudzającymi postrach środkami“ („mit gefürchteten Mitteln“).

Inni dyskutanci z „Neue Zürcher Zeitung“ rozprawiając się z niemieckimi i szwajcarskimi przeciwnikami Foerstera poparli potem jego stanowsko wskazując, m. in. na to, że znakomity uczony już w r. 1929 ostrzegał na łamach „Temps“ przed iluzją jakoby n. p. po opuszczeniu Nadrenii przez alian tów można się spodziewać normalizacji stosunków z Niemcami. Dalsze dzieje przyznały Foersterowi w stu procentach rację. „Zewnętrzno-polityczna koncepcja narodu niemieckiego — pisał Felix Stössinger — jest dowodem jego zbiorowej winy“. Na popularne w Anglii mniemanie, że Niemcy są narodem jak każdy inny, należy odpowiedzieć: „Nie, nie, po trzykroć nie!“ Z tego pewnika trzeba nareszcie wyciągnąć praktyczne konsekwencje.

By nie nużyć przykładami, wskażę tylko jeszcze na kilka sformułowań Janusza Pajewskiego, poprzedzonych w jego książce długą ciekawą analizą. (J. Pajewski — W. Głowacki „Analogie rewizjonizmu niemieckiego“, Poznań, 1947). Otóż Pajewski polemizując ze zdaniem antyhitlerowskich, tak centrowych jak lewicowych emigrantów, utrzymujących, że nie można obarczać winą całego narodu i nie wolno powtarzać Wersalu, narzucając Niemcom ostre i niesprawiedliwe warunki, pisze: „Szerzenie... takich poglądów... jest najoczywistszą próbą szantażu; Niemcy wzywają tu zwycięzców, aby nie nakładali na Rzeszę surowych warunków, gdyż osłabiają w ten sposób żywioły prawdziwie demokratyczne i pokojowe, wzmacniają zaś siły elementów skrajnych i w następstwie zagrażają pokojowi światowemu...“

„Dokładnie to samo — czytamy w innym miejscu — słyszał świat w dobie Wersalu. Tłumaczono wówczas, że wojna toczyła się przeciwko Hohenzollernom i pruskiemu imperializmowi, że z chwilą ich upadku przedmot sporu wygasł zupełnie. Jeśli Europa chce pokoju oparte go na sprawiedliwości powinna popierać takich demokratów, jak np. socjalista Noske, jak pacyfista Stresemann, w przeciwnym razie górę wezmą militaryści i nacjonaliści. Doświadczenie jednakże uczy, że im większą słabość i ustępliwość okazywali zwycięzcy względem Niemiec, tym więcej wzmagał si na siłach i szerzył w narodzie niemieckim pruski militaryzm, nie zaś demokracja. Stąd wniosek, że słabość nie jest dobrą metodą wychowawczą w stosunku do Niemców... Sposób zapobieżenia odrodzeniu militaryzmu niemieckiego i uniknięcia nowej agresji jest tylko jeden. Jest nim zastosowanie wobec Niemiec i konsekwentne utrzymanie systemu twardej ręki. Jest to jedyny język, który naród niemiecki rozumie“.

Realizm odpowiedniej kolejności

Sądzę, że z tego pobieżnego i mocno niekompletnego przeglądu głosów zajmujących się kwestią sposobu postępowania z Niemcami widać wyraźnie jedno, a mianowicie, że tak rzecznicy łagodniejszych, jak i ostrzejszych metod wychowawczych mają swoje niepozbawione słuszności racje. Dlatego też, żaden z dwóch wyżej przedstawionych głównych kierunków nie wydaje mi się w całości do przyjęcia, o ile naprawdę chcemy dojść do wniosków pretendujących do miana realnych. A już stanowczo trzeba się odżegnać od uczuć przyjaźni czy wrogości względem narodu niemieckiego jako takiego, bo od razu zeszlibyśmy z właściwej drogi. Decydować tu może jedynie trzeźwość rozumowania i nic więcej. Rozpatrzmy z tego punktu widzenia niektóre argumenty omówionych autorów.

Niezależnie od takiej czy innej oceny źródeł niemieckiego zła i niezależnie od stopnia naszej wiary względnie niewiary w możność jego usunięcia, zgodzimy się chyba wszyscy na to, że nic nas nie uprawnia do polityki zaufania, której się domaga np. Windisch, a przeciwnie wszystko uprawnia do polityki nieufności. W każdym razie tymczasem, póki Niemcy sami przynajmniej w swej większości nie dadzą nam okazji do zmiany tego stanowiska. Tu inicjatywa należy w zupełności do nich. I nikogo nie może zdziwić, jeżeli tak łatwo nie damy się przekonać. Np. nawet hasło jedności Niemiec mimo wielu argumentów przemawiających za nim, tak długo będziemy przyjmować z pewnym sceptyzmem, aż nie zdobędziemy pewności, że nie kryje się pod nim stary nacjonalizm maskowany jedynie demokratyczną nalepką. Nie ulega wątpliwości, że zaufanie pomaga temu, kto chce się poprawić, ale z drugiej strony bywa wykorzystywane przez tego, kto się poprawić nie chce. Nie mamy jeszcze dostatecznych elementów na to, by w wypadku Niemców ten drugi wypadek wykluczyć. Nie możemy kredytować komuś, kto żadnego kredytu u nas mieć jeszcze nie może. Żądamy zabezpieczenia. To chyba jasne.

Lecz polityka nieufności nie jest sama przez się jednoznaczna z polityką twardej ręki. Nieufność może znaleźć różny wyraz w praktycznym postępowaniu. Określa pewien kierunek, a nie sposoby. Te ostatnie wyznaczają nam znów Niemcy. Przede wszystkim przez swój taki a nie inny charakter. Tylko na podstawie praw z niego wyłonionych można chcieć go zmienić. W pedagogice nie ma sztywnych reguł, które by się nadawały do każdego wypadku. Co dla jednego będzie dobre, to dla drugiego okaże się zgubne — tej prawdy nie wolno tracić z oczu.

Z cech niemieckiego charakteru narodowego, które omówiłem w artykule poprzednim, szczególnie ważne dla nas w danej chwili są: potrzeba ślepego posłuszeństwa wobec każdej silnej i konsekwentnej władzy, bezkrytyczne i uporczywe trzymanie się tradycyjnych mitów streszczających się w mniemaniu, że Niemcy są solą ziemi i pępkiem świata oraz ściśle z tym wszystkim związany brak zrozumienia dla wolności i tolerancji, dla demokracji tout court. Te właściwości niemieckie muszą być dla nas drogowskazem. Bo szkoda marzyć o wpływaniu na kogoś, o ile nie zna się języka, który on rozumie.

„Jeżeli rozmawiasz z Niemcem — brzmi maksyma Niemca Günthera R. Richtera („Ulenspiegel“ nr 11 z b.r.) — i chcesz by słowa twoje odniosły jakiś skutek, wybieraj tylko i jedynie tryb rozkazujący“. Wychowanie Niemców trzeba więc zaczynać od rozkazów. Na to nie ma rady. I to im bardziej będą one stanowcze i konsekwentne, tym lepiej. Niemcy tęsknią za silnym panem i są rozczarowani, o ile ten, kto nimi rządzi, tłumaczy i perswaduje. Upatrują w tym dowód słabości. W następstwie zaczynają go z miejsca lekceważyć i wszelka działalność wychowawcza z jego strony nie ma już widoków na powodzenie, chyba, że się w porę zreflektuje. Przebywając w Niemczech przez półtora roku po zakończeniu działań wojennych, przekonałem się o tym naocznie i osobiście w odniesieniu do różnych warstw spo-

(Dokończenie na stronie 3)

Wystawa Ziem Odzyskanych

W pełnym toku są prace przygotowawcze do Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, który z dniem każdym zmienia swe oblicze nie do poznania

Nagroda Literacka Czytelników „Odry“

Składki na Nagrodę Literacką Czytelników „Odry“ wynoszą przy zamknięciu bieżącego numeru „Odry“ 115.000 złotych.

Nowe składki złożyli:

Gen. dyw. Aleksander Zawadzki wojewoda śląsko-dąbrowski 60.000

Wojewódzka Rada Kultury, Katowice 50.000

Zapraszamy do dalszych składek, które wnosić prosimy na konto „Odry“ w P. K. O III 4950 z zaznaczeniem: Nagroda „Odry“.

Skład jury podamy w jednym z najbliższych numerów.

GERHARD SCHULTZE-PFAELZER

Struktura neofaszyzmu

Neofaszyzm zaczyna w swojej niemieckiej ojczyźnie między Łabą a Renem ukazywać powoli swoją prawdziwą strukturę. Przy tym największą niespodzianką będzie stwierdzenie, jak mało ma on wspólnego z partią swastyki, przeciwko której to numerom członkowskim demokratyczny rumak urzędowy stoi od trzech lat w ostrej walce, pomagając sobie dzielnie piórem i papierem. Żywi faszyści klepią się z zadowoleniem po udach i biją brawo, gdy sejmiki w angielskiej strefie okupacyjnej dziś jeszcze zajmują się nowymi ustawami denacyfikacyjnymi. Owa denacyfikacja od dawna jest bowiem niczym innym jak manewrem odwracającym uwagę od istotnego pola bitwy w myśl hasła „Łapaj złodzieja!". Neofaszystowscy kierownicy komórek za kulisami spodziewają się, że długo jeszcze ponosić będzie klęski ich konkurencja w postaci pechowców, którzy dali się nakryć jako Parteigenossen.

Jeśli pragniemy przyjrzeć się bliżej i w pełnym świetle duchowo-socjalistycznej strukturze owych niemieckich neofaszystów, musimy sięgnąć do genezy ruchu. Pochodzą oni po większej części z gleby i epoki wilhelminizmu i jako podporucznicy lub referendarze służbowali temu człowiekowi, którego działalność wyczerpywała się jeszcze na bojowych przemówieniach. Panowie ci są jeszcze dość krzepcy, wielu dopiero trochę ponad pięćdziesiątkę, co nie jest żadnym wiekiem w czasie, gdy przeciętny wiek funkcjonariuszy służby publ. zbliża się do sześćdziesiątki. Adolfa Krwawego nigdy nie brali zbyt poważnie, uważali go zawsze za człowieka nie na swoim miejscu, w ogólności tłoczyli się także wokół partii, jeśli się im to zaś nie udawało, znajdowali uznanie jako niezastąpieni fachowcy, przeważnie też od dawna zmazali już, dzięki dobrym stosunkom z amerykańską kwaterą główną, nieprzyjemną plamę na siedzeniu. W każdym razie posiadają oni spokojne sumienie, nikogo nie zadenuncjowali, a nawet pomagali jednemu z Żydów, nie życzą też sobie mieć nic wspólnego z małymi nazistami, biegającymi wkoło bez posady i wśród przekleństw.

Jako młodzi ludzie w republice weimarskiej zaczynali w partiach umiarkowanych, kończąc potem na Hugenbergu, gdy dostrzegali, że tak dalej nie pójdzie. Pewien obserwator polityczny powiedział swego czasu: Ludzie, którzy w okresie młodości nie byli ekstremistyczni, stają się niebezpieczni na starość. Tak, ówcześni republikańscy koniunkturaliści zdecydowani są przyjąć rolę, którą źle informowana opinia publiczna wciąż jeszcze przypisuje ludziom, jacy kiedyś z opaską i puszką dzwonili do drzwi mieszkań. W rzeczywistości najbardziej wściekły na nazistów jest dzisiaj nazista sam, któremu przypadła w udziale cała szkoda. Przeciętnemu naziście z wczoraj nic nie jest dziś bardziej dalekie jak polityczna przygoda. Oczywiście zdarzają się wyjątki, są nimi albo zdenacyfikowani użytkownicy partyjni albo niepoprawni włóczędzy, z których istnieniem liczyć się musi każdy reżim: w sumie jednak zwykły zdenacyfikowany Parteigenosse nie szuka w aktywizacji politycznego życia jakiejś pozycji siły, cieszy się raczej, że może powoli odbudowywać swoje prywatne bezpieczeństwo.

Inaczej ma się sprawa z kołami, które dziś uosabiają aktywną reakcję. Są oni dlatego tak trudni do rozpoznania, że zamierzają wprowadzić nie wczorajszy, lecz przedwczorajszy stan. Łączą się w przeklinaniu wczorajszego, nic to nie kosztuje, swastyka przepadła, hitleria była czymś jednorazowym, można w jej kierunku posyłać niewiążące kopniaki, jest to nawet dobre z punktu widzenia praktycznego maskowania się. Ale przedwczorajszość, ów hugenbergeryzm, ma wiele wariacji, w każdym razie nie wiąże się z pękniętym profilem wodza. Gdy niemieckonarodowi zaczynali przed jednym zaledwie pokoleniem swoją opozycję przeciw próbie nowej orientacji, dźwigali z sobą balast, portret bożka, wizerunek zbiegłego monarchy. Żądali bezpośredniej restauracji, co odstręczało wielu, którzy pragnęli choć trochę służyć postępowi i nie mogli się zgodzić na mechaniczny powrót porządku społecznego sprzed pierwszej wojny światowej. Kiedy jednak pod koniec lat dwudziestych opozycja prawicy zatraciła swój monarchistyczno-konserwatywny charakter, zapisując coraz więcej swą duszę potężnym przemysłowcom, wpływ reakcyjny przekroczył daleko i szeroko czarno-biało-czerwone opłotki partyjne, czyniąc republikę pustym szkieletem paragrafów. Hugenbergeryzm rychło staje się panującą siłą, chociaż kierownik partii Hugenberg w tym czasie przegrywał już swe osobiste znaczenie, w miejsce którego wkraczała wszechpotęga bezosobistego kapitału monopolistycznego.

Faszyzm niemiecki eksperymenty swoje rozpoczął od rebelii wojskowej, od tak zwanego puczu Kappa, który rozbił się o niedomiar przeczuć politycznych starej warstwy oficerskiej. Sprawę faszystowską uratował wówczas jedynie zwrot, jakiego dokonał przemysł, idąc z pomocą pobitemu militaryzmowi. Zabrzmiało wówczas hasło: Precz z bolszewizmem, — a bolszewizmem nazywano wszystko, co stało na lewo od wielkiej mieszczańskiej granicznej figury Stresemanna. Ideologia faszyzmu niemieckiego w czasie weimarskim była, jeśli chodzi o bliższe frazeologiczne tło, całkowicie militarystyczna, mianowicie militarnopolityczna. Wyrażała ona tendencję „równouprawnienia" Niemiec, chodziło przy tym o prawo do nieograniczonych zbrojeń. Ponieważ żądanie to nie zostało spełnione do roku 1933, stąd nie pociągnęło się do faktycznej odpowiedzialności faszyzmu hugenbergerowskiego. Rozprawę z uzbrojoną rzeczywistością pozostawił on, nie wiedząc co czynić dalej, przywódcy rozbójników Hitlerowi, po którego automatycznej katastrofie cała zwierzchność militarna przypadła w udziale aliantom. Faszyzm przedhitlerowski operował chimerą „żołnierza frontowego", mieszczańskiego jednorocznika, któremu pełnomocnicy ciężkiego przemysłu dostarczali bezpłatnie piwo. W taki sposób dotarł on bezpośrednio do mas.

Okrężna droga, prowadząca poprzez instynkty związkowo-kombatanckie, które niemiecki prafaszyzm uczyniły wielkim, nie stoi już dziś do dyspozycji faszyzmowi niemieckiemu. Kapitalizm monopolistyczny nie ma już zatem żadnych możliwości zwracania się do mas za pomocą własnych instrumentów. W ten sposób zmniejszył się wydatnie krąg tych, którzy zawikłani są w interesowność neofaszyzmu. Z przyjemnością stwierdzić trzeba, że właśnie chrześcijański ruch zawodowy, dawniej chętnie flirtujący z Hugenbergczykami, tym razem pragnie zostać w bloku antyfaszystowskim, chociaż wciąż jeszcze firmuje w kraju Nordhein-Westfalen reakcyjnego premiera Arnolda. W ten sposób neofaszyzm na zachodzie Niemiec jedną ma jeszcze tylko szansę, a to podbicie mas SPD. W tym celu reakcja niemiecka wciągnęła do swojej roboty angielskie placówki okupacyjne, które próbują wytłumaczyć SPD, że jako czołowy ruch masowy Bizonii ma ona obowiązek krycia kapitalistycznej odbudowy gospodarki światowej. Za to pozwala się SPD na pewne nieistotne zewnętrzne akcje, jak na przykład na prowadzenie frankfurckiej propagandy stulecia Wiosny Ludów jako własnej sprawy partyjnej.

Kim są właściwie ci wszyscy neofaszyści? Na razie jest to grupa nieliczna, gubernatorska, ale każdy z niej jest podwójnie ważny jako członek kasty menażerów. Oficerowie odgrywają tu wówczas tylko jakąś rolę, jeśli poza żołnierką jeszcze coś umieją. Każdy z nich jest fachowcem, lub musi nim być. Szkielet tworzą akademicy, przede wszystkim w postaci tych zarobkowych akademików, którzy jako techniczni lub jurystyczni praktycy kontrolują administrację, produkcję lub wielki handel. Gromadzą się znowu w zrzeszeniach fachowych i w zespołach staroburszowskich, tworzą wokół siebie szeroki krąg klienteli spośród szukających zatrudnienia młodych i repatriantów. Oczywiście są oni najwierniejszymi eksponentami planu Marshalla, spodziewają się także, że w biurokracji rządu zachodnioniemieckiego usadowią wielu swoich towarzyszy. Wciąż jeszcze są mieszanką ze zdolnościami kameleona. Posiadają oni naturalnie niejedno stanowisko kierownicze w partii chrześcijańskiej i liberalnej, ale partie te nie stanowią dla nich ani celów samych w sobie, ani sprawy przekonań. Jeśli partie te nie będą zupełnie po ich myśli, zaczną tworzyć secesje, antypartie a początki tego już są widoczne. Specyficznie faszystowska w ich celach jest wola do wyłączenia mas i narodu, pragnęliby szybko zademonstrować, że demokracja raz jeszcze zawiodła. Wtedy pojawiają się pojęcia gabinetów fachowców, zarządzenia przymusowe, ustawy antystrajkowe i inne dyrektorialne rozwiązania. Projekt rządu fachowców po raz pierwszy przeegzerczyzowali w kraju Dolnej Saksonii. A zachodnie czynniki okupacyjne ów nowy hugenbergeryzm chętnie popierają, bo godzi się on na imperialistyczny statut kolonialny i na razie nie wykazuje żadnego zainteresowania dla „żołnierzy frontowych".

Die Weltbühne, nr. 22, 1 czerwca 1948

Z niemieckiego spolszczył J. B.

ŁUCJA MAZURKIEWICZ

Na Ziemi Lubuskiej

I.

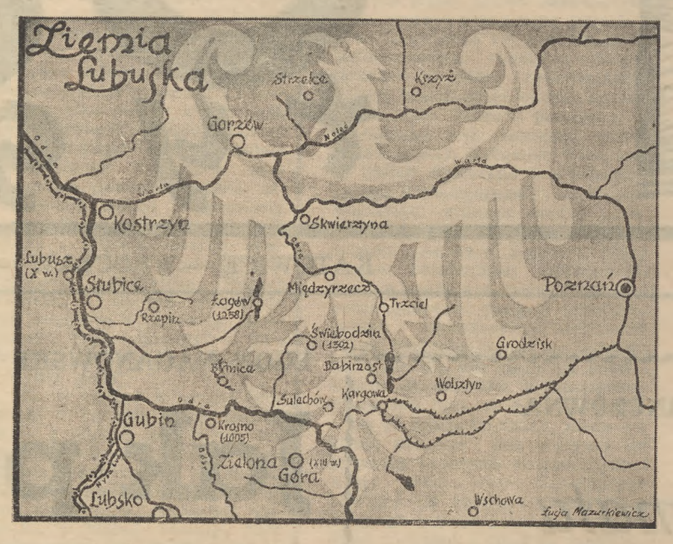

Droga prowadzi przez tę samą krainę, na której rodziła się nadgoplańska tradycja dziejów piastowskich. Nawet suchy, kartograficzny obraz rzeczywistości — mapa administracyjna — nie stawia oporu. Gdy bowiem zechcesz palcem po mapie zwędrować niedawno przebyty szlak i wdzięcznym wspomnieniem obdarzyć każde z poznanych miasteczek, nie znajdziesz na swej drodze linii dzielącej ten obszar w odrębne województwa. Jak gdyby zadośćuczynienie za dawne błędy. Ileż bowiem sprzeczności z warunkami naturalnymi spotyka się w podziale administracyjnym Polski, jakżeż smutne dziedzictwo dawnych kordonów zaborczych! Ale nie tutaj — ziemia wielkopolska od Gniezna i Poznania po Lubusz jest jedną krainą. Jednakie dzieje wypisał na jej obliczu skandynawski lądolód, w jeden organizm zespala ją sieć błękitnych strug wodnych, uległych Odrze i Warcie, jeden oddech Atlantyku wygładza klimat tej środkowopolskiej dziedziny i jedne dzieje zapalają wśród jezior i lasów pochodnie pierwszej kultury: stare grody piastowskie.

Ziemia Lubuska: nazwa krainy między Śląskiem a Pomorzem, między Wartą a Odrą. Nazwa, będąca wyrazem wdzięczności dla małej dziś i zapomnianej miejscowości Lubusz na lewym brzegu Odry, ongiś starego grodu, stolicy diecezji lubuskiej. Nie bogaty to kraj. Gleby piaszczyste, gorsze niż w Poznańskiem, głównie żyto i ziemniaki przyhołubiają. Za to nie znajdziesz gdzie indziej na niżu środkowopolskim większego bogactwa lasów. W łęgach pradolin lasy liściaste i zarośla, na wysoczyznach sosnowe, buczynami przeplatane wesoło. A od czasu do czasu piękne, podłużne jeziora, dopełniające uroku tej ziemi. Sąsiadka bogatego Śląska, Ziemia Lubuska, czuje się trochę jak sierota. Cóż może ofiarować? Chyba tylko ten węgiel brunatny, co mu się nie równać ze smołą górnośląskiego i wałbrzyskiego, ale ważny dla miejscowego przemysłu. Chyba te żwiry, piaski i gliny — podstawa przemysłu ceramicznego. Chyba wreszcie te kamienie polne, od niewielkich, będących utrapieniem dla ziemi, i tak lichej, do ogromnych, zabłąkanych z dalekiej północy głazów, z których zbudowane są domostwa i które rzeźbią się w krajobrazie sylwetkami zamków i grodów.

A jednak przy swoim ubóstwie pozostała Ziemia Lubuska — podobnie jak była przedtem — niesłychanie cenna dla Polski, równie cenna jak reszta Ziem Odzyskanych. Prawo do tego zyskała nie z jednego tylko tytułu. Oto w pierwszym rzędzie można ją nazwać zaszczytnym mianem przedpola strategicznego Polski. Dzięki kluczowemu położeniu odegrała ważną rolę w dziejach walk polsko-niemieckich, później była bazą wypadową fali germańskiej, dziś wraca do Macierzy jako jej front obronny i bojowy. Posiadanie Ziemi Lubuskiej jest również koniecznością gospodarczą dla Polski, tędy bowiem, szlakiem dawnych dróg handlowych, prowadzą linie wielkich połączeń między Śląskiem a morzem, między wschodem a zachodem. Kraj przede wszystkim rolniczy. Choć nie bogaty, a jeszcze może żywnością wspomagać niektóre obszary Śląska, jak przed wojną był spichlerzem dla uprzemysłowionych okolic Berlina. Zespolenie Ziemi Lubuskiej w jedną administracyjną całość z obszarem województwa poznańskiego staje się równocześnie jej włączeniem w zagospodarowane ziemie przyległe, co przyczynia się niewątpliwie do podniesienia tutaj gospodarki rolnej. A trzeba tu pewnego kierownictwa w gospodarce. Osadnicy i repatrianci przywieźli z sobą różne sposoby uprawy roli. W poznawaniu nowych warunków gospodarki trzeba im przyjść z pomocą.

Jeśli już mowa o mieszkańcach tej ziemi, to musimy zdać sobie sprawę z całej wagi problemu osiedleńczego na Zachodzie. Ciągle jeszcze jest tu płynność, ciągle jeszcze wielu mieszkańców czuje się tu tymczasowo. Gdzie szukać przyczyny? Zagadnięta przygodnie mieszkanka Krosna, pochodząca zza Baranowic skarży się, że za dużo tu ludzi, bardzo trudno znaleźć pracę. Ma swój dom z ogrodem, trochę pola, żywicielką zaś rodziny jest jedna krowina, też repatriantka. To wystarczy, aby żyć jako tako, ale nie wystarcza, by czuć się jak obywatel świadomy, iż pracą swą służy społeczeństwu i tej nowo objętej ziemi. Przygodna, jak mówię rozmowa, a problem zasadniczy, mianowicie problem nierównomiernego zasiedlania miast i wsi. Jest większy procent ludności w miastach, a ziemia czeka na polskiego rolnika. Zapomnieć nam nie wolno i o tym, że Ziemie Zachodnie w organizmie Niemiec były areną przerażającej naszych sąsiadów depopulacji, ucieczki masowej Niemców. W organizmie Polski muszą rozkwitnąć jak nigdy rękami kochającymi pracę na roli.

To są postulaty, ale jest to równocześnie przyszłość, która urzeczywistnia się na naszych oczach. Przez Ziemię Lubuską przeszedł wicher zniszczenia, odczytywany dziś w ruinach wielu miast. Tylko pas na południe od Odry z miastami: Wschową, Lubskiem i Zieloną Górą ostał się prawie cały. W innych miastach procent zniszczenia jest nieraz bardzo znaczny. Nie jest to jednak czynnik, który by był zdolny zahamować rozwój a tym mniej rozmach życia gospodarczego. Odbudowują się domy, odbudowuje się przemysł, odradza się życie. Przykładem jest przede wszystkim Zielona Góra, ośrodek rozwiniętego na wielką skalę przemysłu tkackiego, maszynowego i spożywczego z winnictwem na czele. Dziś Zielona Góra liczy prawie 30 000 mieszkańców, co w porównaniu ze stanem przedwojennym jest nadwyżką w postaci 4000 mieszkańców! Dźwigają się i inne miasta. Ziemia Lubuska żyje własnym życiem, włączonym w rytm ogólny.

II.

Pozostaje nam teraz odbyć miłą wędrówkę po osiedlach Ziemi Lubuskiej, by jej obraz utwierdzić w sercu i pamięci. To, co poza przyrodą spotkamy po drodze, a więc to, co człowiek zbudował budowaniem nie jednego, a całego szeregu pokoleń, umocni jeszcze związek nasz z tą ziemią. Od najstarszych czasów Ziemia Lubuska była zasiedlona. Świadczą o tym wykopaliska prehistoryczne i liczne ślady grodzisk. Spotykamy tu najstarszy typ wsi, owalnicę, budownictwo zaś drewniane zostaje wyparte z czasem przez domy murowane z cegły lub z głazów narzutowych. W okolicach Gorzowa i Strzelec zachowały się granitowe kościółki z XII wieku (jakżeż niewyczerpane jest bogactwo materiałów budowlanych!), w powiecie gubińskim są wpływy łużyckie, gdzie indziej znów spotykamy wsie t. zw. „holenderskie" z zachowanymi okazami starego drewnianego budownictwa.

Miasta na Ziemi Lubuskiej mają wspólną tradycję, gdyż omal wszystkie powstały na starych grodach lub obok nich i leżą przeważnie przy szlakach komunikacyjnych, w miejscach obronnych. Z przyjemnością mija się te miasta — wzruszenia estetyczne potęgowane echem historii piszą podwójne obrazy: na filmie Leic'i i na filmie serca — stokroć wyrazistsze i trwalsze. Mijamy Trzciel, miasto po obu stronach Obry, otrzymujące prawa miasta w czasie wojny trzydziestoletniej. Niestety wskutek licznych pożarów zabytki nie zachowały się. Zatrzymujemy się w Świebodzinie, który był w 1302 r. własnością rycerza polskiego Gniewomiera, a od 1319 r. otrzymał prawa miejskie. Ze starego Świebodzina, którego obraz zachował się w ratuszu, dziś oglądamy tylko tenże ratusz, na nowo odbudowany po pożarze z roku 1541, dalej piękny kościół św. Michała, pięcionawowy gotyk z ambitem, z roku 1336, oraz resztki zamku, murów i baszt. Nieco dalej podziwiamy zamek w Łagowie, położony wraz z osadą na przesmyku między dwoma jeziorami rynnowymi, Łagowskim i Trześniow. Osada i zamek, zajmujący doskonałe obronne położenie, były kiedyś wielkopolskim zamkiem granicznym, później zaś warownym grodem Brandenburgii przeciwko Polsce i książętom śląskim. Pierwsza wzmianka o Łagowie pochodzi z roku 1258, a o zamku z 1350. Od 1347 r. osada była siedzibą komturów joannickich do 1810 roku, po czym zamek przeszedł w ręce prywatne. Na szczególną uwagę zasługuje zamek łagowski, czteroskrzydłowa budowla z okrągłą wieżą, otoczony podwójnym murem, z podgrodziem,

Krosno nad Odrą

„Servite Domino in laetitia"

Tęsknota za świętością nie jest obca naszym czasom. Staje się ona tym dolegliwsza, im bardziej hamujące, utrudniające stają się warunki zewnętrzne. W zagonionym, niespokojnym, przeaktywizowanym trybie życia kontemplacja stała się dla wielu rzetelnych i szczerych chrześcijan trudem ciężkim, na miarę pracy w kamieniołomach. Przyczyną jednak tych trudności jest nie tylko „duch czasu", lecz także niewypracowane jeszcze dostatecznie dla ludzi świeckich metody ascetyczne. Zrozumieliśmy już dobrze tę prawdę, że świętość nie jest specjalnością ludzi żyjących w zakonie. Trudności jednak wyrastają z tego, że pomocy w życiu wewnętrznym szukamy w literaturze ascetyczno-mistycznej, której autorami byli ludzie żyjący w zakonie i którzy przeznaczyli swe książki dla zakonów. Asceza zakonna przeszła niewątpliwie próby wieków, ale nie zawsze da się przykroić i zastosować do życia świeckiego. I stąd u wielu ludzi te częste wykolejenia pobożności w kierunku formalizmu i bigoterii. Odnosi się wrażenie, jakby ci ludzie, najlepszej zresztą woli, usiłowali nałożyć uniform nie na siebie skrojony. Drugą przyczyną częstego wypaczania i skostnienia pobożności jest zaniedbanie kształcenia sumienia. Nieraz ludzie mający wielkie ambicje doskonałości kierują się w życiu zbyt wygodnie sumieniem „uformowanym", zrzekając się swej samodzielnej pracy i odpowiedzialności. Sumienie „uformowane" stosuje się do przepisów religijnych, przeoczając zasadnicze prawa etyczne. Musi się na przykład odmówić różaniec, choćby chory umierał z pragnienia. Jest to ten faryzejski formalizm, na który tak bardzo oburzał się Chrystus. Sumienie dobrze urobione musi mieć oczy otwarte na to, czego każdy moment życia wymaga. Nie można całej odpowiedzialności zrzucić na podręcznik etyki, czy głos spowiednika, bo tego, jak postępować w codziennych sytuacjach nie powie ani spowiednik, ani najbardziej szczegółowa etyka.

Sumienie trzeba kształtować i rozwijać i tylko w takim trudzie staje się ono coraz bardziej samodzielne i delikatne. Do tych dwóch zagadnień t. j. braku odpowiedniej dla świeckich ascetyki i niebezpieczeństwa sumienia uformowanego można by ściągnąć najistotniejsze trudności w życiu religijnym dzisiejszego człowieka.

Z ogromną pomocą w tych trudnościach przychodzą dwie tłumaczone na język polski książki wydane w r. 1947 przez ks. ks. Pallotynów: ks. dr j. Millera: „O radosnym miłowaniu Boga" i dr M. Nailisa: „Świętość w życiu codziennym".

Pierwsza z nich oparta jest na dziełach ascetycznych i mistycznych św. Franciszka Salezego, który swymi poglądami dokonał pewnego rodzaju rewolucji w ascetyce. Rewolucyjność poglądów św. Franciszka Salezego polega na tym, że potrafił z genialnością i odwagą świętego odrzucić to, co uważał dla kształtowania religijnego duszy za szkodliwe, nie licząc się z utartą, nawet „pobożną" opinią. W epoce wykrzywionej przez ponury pesymizm Reformacji, która przygniotła człowieka do ziemi poczuciem zupełnej bezradności wobec zepsucia natury i odebrała mu odpowiedzialność za czyny, św. Franciszek buduje ideał moralny oparty o harmonijną jedność kultury doczesnej z chrystianizmem, daje ideał, jak być człowiekiem z krwi i kości dążąc jednocześnie do uświęcenia. „Filotea" czyli droga do życia pobożnego jest pierwszym podręcznikiem ascetycznym dla ludzi świeckich nie powołującym się na metody i system życia zakonnego. Św. Franciszek z głębokiem przekonaniem twierdzi, że ideał świętości nie może być zamknięty w jeden utarty i wszystkich obowiązujący schemat, lecz musi dla każdego człowieka być inny, przez każdego samodzielnie odkryty i wypracowany. Przezwycięża św. Franciszek pesymizm Reformacji uznając szlachetność człowieka i możliwość jego rozwoju i uświęcenia. Żyjąc według przykazań Bożych nie postępujemy wbrew przyrodzonym skłonnościom, a świadome celu doskonalenie się musi doprowadzić do urzeczywistnienia w sobie zarówno doskonałego człowieka jak i doskonałego świętego. Zło jest pierwiastkiem obcym naturze człowieka. W naturze ludzkiej tkwi wrodzona dyspozycja do zjednoczenia się z Bogiem. Te zasadnicze prawdy, których rodowód tkwi w Ewangelii, wysuwa św. Franciszek na czoło, obdziera je z ponurego balastu i prymatu poczucia winy i lęku przed naturalnymi dyspozycjami człowieka i opromienia drogę do Boga radością, której tak bardzo było brak pobożności epok poprzednich. Ks. dr J. Miller stawia nawet taką tezę, że „przesadne pielęgnowanie poczucia winy pociągnęło za sobą unicestwienie radości chrześcijańskiej". Brak zaś radości w życiu religijnym skłaniał ludzi do szukania jej w inny sposób. „Nie był przypadkiem fakt, że właśnie pesymistyczne systemy religijne XVII i XVIII w.: kalwinizm i purytanizm angielski okazały się podatnym gruntem dla budzącego się kapitalizmu. Zdolność do interesów została tu uznana za cnotę, powodzenie zaś ekonomiczne za koronę wszystkich cnót. W okresie rozkwitu gospodarki kapitalistycznej z predylekcją powoływano się na uprzewilejowanie pod tym względem państw protestanckich w przeciwstawieniu do katolickich. Dziś, kiedy zgubne skutki takiego nastawienia w przerażający sposób ujawniają się całemu światu, umilkły te hymny pochwalne. Ale i w obecnych czasach boleśnie daje się odczuwać pewnego rodzaju zeświedczenie radości i przecenianie zewnętrznych sukcesów kosztem osobowości."

„Jako subtelny psycholog spostrzegł trafnie św. Franciszek Salezy, że afekty pozytywne potęgują energię, negatywne obezwładniają ją. Dlatego też w swojej działalności duszpasterskiej świadomie i celowo umieszcza w środkowym punkcie swej ascezy optymistyczne pojęcie o człowieku." To wołanie o wypracowanie w sobie radosnej postawy nie jest bynajmniej ironią w obecnych czasach mimo katastrof, nieszczęść i cierpień, które na znękaną wojną ludzkość spadły i spadają, ale zdrową odtrutką i ratunkiem przed ponurym smutkiem, w jaki spycha człowieka egzystencjalizm. Katolicyzm kryje w sobie niewygasające źródła radości. „Radość ta rodzi się z miłości Boga i najlepszą drogę ascezy wskazuje zawsze psychologia miłości, bo miłość króluje nad wszystkimi skłonnościami serca." Taka jest podstawowa myśl ascezy św. Franciszka i tą myślą przepojona jest też prosta i praktyczna książka Nailisa: „Świętość na co dzień". — „Jeśli spotęgujemy w sobie miłość do płomiennego entuzjazmu ... wtedy nie trzeba będzie barier zagradzających drogę do rzeczy niskich i przyziemnych. Dobrowolnie i samorzutnie człowiek czynić będzie to, co mu nakazują przykazania i przepisy."

ZOFIA ŻORECKA.

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Już ukazał się numer 5 „Przeglądu Socjalistycznego" o następującej treści:

Lange O. Przed konferencją lewicy socjalistycznej.
Świątkowski H. W walce o jedność i pokój.
Reczek Wł. Problemy organizacyjne nowego etapu.
Arski St. Majowy manewr Marshalla.
Kaduszkiewicz A. Gospodarka kapitalistyczna w obliczu trudności powojennych.
Mulak J. Z dziejów myśli programowej PPS.
Anhalt M. Granice kapitalistycznej techniki wytwarzania.

Kartki z historii socjalizmu

J. M. Adam Próchnik.
M. K. Wspomnienie o Teodorze Duraczu.

Na horyzoncie

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

Idee — Myśli — zagadnienia

Jabłoński H. Historyczne przyczyny konserwatyzmu w Wielkopolsce.
Salcewicz J. Zagadnienie Planu Technicznego.
Pragierowa E. Drogi rozwoju polityki pracy w Polsce.
Karst R. Polityczne żądło egzystencjonalizmu.
Wojciechowski K. Walka z analfabetyzmem.
Drobner M. Robotnik jako konsument sztuki.
Fietkiewicz J. Giuseppe Garibaldi.
Nowicki A. Irlandia współczesna.
F. S. Zasady powojennego systemu finansowego Polski.

Z życia partii
Notatnik referenta

Cena numeru zł 40.— (68)

Kartka z rodowodu solidarności słowiańskiej

W czasach obecnych, gdy ciągle istniejące niebezpieczeństwo niemieckie nakazuje Polakom i Czechom budować trwałą przyjaźń w imię ich własnego dobra, na szczególną pamięć zasługują momenty wspólnej polsko-czeskiej akcji przeciw niemczyźnie. Rozsiane na przestrzeni dziejów stanowią one historyczną tradycję poczynań dzisiejszych. Jeden z takich właśnie momentów, czasowo niezbyt odległy, pragnę przedstawić.

Duszno było w Europie w końcu XIX wieku. Rozzuchwalone od wojny 1870 r. prusactwo nie ukrywało bynajmniej swoich imperialistycznych dążeń, do których wprzęgło także chwiejącą się już w posadach monarchię habsburską. A tę wzrastającą chciwość Niemców odczuli przede wszystkim zamknięci wraz z nimi granicami Słowianie. Jakóż nastały wtedy czasy, gdy toczyć musieli oni walkę o swoje „być albo nie być". Tak było w Poznańskiem i całym zaborze pruskim, z podobnym niebezpieczeństwem liczyli się podlegający Austrii Czesi, zdawali sobie z niego sprawę Polacy w Galicji. Dlatego też mnożą się wtedy objawy solidarnych poczynań obu ciemiężonych narodów na froncie walki z niemczyzną. Jednego z przykładów dostarczył rok 1897.

Już od szeregu lat domagali się Czesi równouprawnienia swego języka w stosunku do niemieckiego w Czechach i na Morawach; domagali się bez skutku, bo wszystkie propozycje rządu wiedeńskiego nie nadawały się do przyjęcia. Dopiero Polak, Kazimierz Badeni, stanąwszy na czele gabinetu, zdecydował się kwestię rozwiązać radykalnie. Wydał więc w r. 1897 rozporządzenie, mocą którego język czeski otrzymał w Czechach i na Morawach równe prawa z niemieckim. Nigdy jeszcze rząd austriacki nie poszedł na takie ustępstwa, toteż burza prawdziwa wybuchła wśród Niemców, aż wreszcie urzędziwszy rozruchy w Wiedniu zmusili oni Badeniego do ustąpienia, a władzę — do odwołania rozporządzenia. Stanowisko Niemiec było jasne: po prostu nie mogli się zgodzić na to, aby na ziemiach, które od dawna uważali za swoje, rozwijał się swobodnie żywioł słowiański. Okazali zaś pod tym względem całkowitą zgodność od przeciętnego krzykacza po intelektualne szczyty. Oto historyk niemiecki światowej sławy, Teodor Mommsen, umieścił w październiku tegoż roku w „Neue Freie Presse" odezwę „An die Deutschen im Oestereich". Sędziwy uczony porzucił tu obiektywizm i spokój, a wyrażając szczerze swoje myśli, wzywał centralistów wiedeńskich, aby „rozbijali twarde łby czeskie, gdy te argumentów wyższej kultury zrozumieć nie mogą", Słowian zaś w ogóle nazwał „apostołami barbarzyństwa, którzy niemiecką pracę półtysiąca lat pogrzebać pragną w przepaściach swojej dzikości".

Wystąpienie Mommsena nosi cechy skandalu. Człowiek znany jako wielki uczony, a także jako polityk o przekonaniach lewicowych, jako zwalczający reakcję pruską liberał — okazał się zwykłym szowinistą pałającym nienawiścią przeciw wszystkim Słowianom. Tak konflikt o prawa języka czeskiego nabrał charakteru ogólnego. Nic więc dziwnego, że odbił się on głośnym echem w Polsce.

Opinią polską z wielką uwagą śledzi przebieg wypadków i stanowisko Czechów, a gdy w Pradze doszło do antyniemieckich rozruchów, gdy padły okrzyki „Smrt Nemcom!", prasa nasza wszystkich politycznych odcieni opowiedziała się zdecydowanie po stronie Czechów. „Życie" krakowskie wiadomość o tych rozruchach zaopatrzyło komentarzem, że „gdy naród w swoich słusznych żądaniach zaspokojony nie został dla garstki niemieckich krzykaczy, tam jedynym hasłem jest walka na śmierć i życie, bez litości, bez pardonu". Aby zaś dobitniej zaznaczyć swą solidarność z pobratymcami, urządzono w Krakowie specjalną manifestację, na której czele stanęła młodzież. Podkreślano przy tym, że nie chodziło tu o uczczenie ustępującego ministra, lecz że manifestację rozbudziło uczucie słowiańskiej jedności wobec gniotącej butnej nawały niemieckiej, grozą niebezpieczeństwa, świadomość wspólnych celów i praw. Były to wszystko spontaniczne odruchy społeczeństwa. Jednakże wystąpienie Mommsena wymagało odpowiedzi osobnej. Dwie z nich zasługują na bliższą uwagę: odpowiedź uczonego polskiego, Oskara Balcera, i wybitnego poety czeskiego, Antonina Sovy. Oskar Balcer znakomity historyk polski, opublikował w Słowie Polskim" z 20 listopada 1897 rz „List otwarty do dra Teodora Mommsena" wydany także w osobnych odbitkach po polsku, niemiecku i czesku. Na wstępie zażądał Balcer w imię powagi naukowej i prostej uczciwości udowodnienia surowych słów o Słowianach, bo trudno przecież wyobrazić sobie, aby wypowiedziane były bez rozwagi. A zanim ten dowód przeprowadzony zostanie, sam zwraca uwagę na niektóre fakty historyczne.

I dalej z godnością i spokojem wymienił tych wszystkich sławnych Słowian, którzy na przestrzeni dziejów wnieśli swój wkład w ogólny gmach kultury, wskazał na działalność uniwersytetów praskiego i krakowskiego (pierwszych w Europie środkowej), na pozyskanie dla kultury zachodniej wielkich obszarów dawnej Litwy itp. A gdy z tego wynikło niezbicie, że Słowianie nie tylko przejmowali potrafią kulturę, ale i kontynuowali ją, przeszedł do naświetlenia roli Niemców. Okazało się wtedy, że w dążeniu ich do supremacji odgrywały rolę wyłącznie korzyści polityczne, że nieśli oni kulturę pomiędzy Słowian przeważnie tylko za cenę wyna radawiania. Wobec niezbitej wymowy faktów, zwrócił się już Balcer do swego przeciwnika bezpośrednio: „Precz z ogródkami! okrzyk zgrozy, jaki się wydarł z piersi pańskiej, to nie było wołanie o pomoc z powodu zagrożonej kultury — to był jęk boleści i rozpaczy z powodu wysuwającej się z rąk Niemców supremacji".

List Oswalda Balcera — to godna odpowiedź Słowian; historycznym okrzykom rozdrażnionego uczonego Niemca przeciwstawił on swój spokój, rzeczowość i niezbitą prawdę Innej, bardzo namiętnej odprawy do czekał się Mommsen od poety czeskiego, Antonina Sovy, który napisał specjalny wiersz. Poznali go niebawem Polacy w starannym tłumaczeniu Macieja Szukiewicza. I tu padły słowa bez ogródek:

Radbyś wszystko zmiażdżyć cynicznie
Kołami zdobywczych rydwanów,
Dzika zaborców stopą!
Teraz, po wojennych tryumfach
twego imperium
Chcesz resztę Europy pokonać,
Nędznie upokorzyć,
Zawładnąć helotami, wyssać im szpik z kości,
W pochód swój tryumfalny wprząc ich jak bydło
I rzekomych barbarzyńców przedzierzgnąć
W zaciężnych twego niesytego imperium!

Nie wywalczyli jednak jeszcze wtedy Czesi równouprawnienia dla swego języka. Droga do wolności ciężka była; jej etapy oznaczyć miały dwie światowe wojny. Ale walka ich była okazją do wykazania ciągle wzmacniającej się solidarności słowiańskiej.

Józef Magnuszewski

Na odwoływanie za wcześnie

Ktoś podpisany inicjałami N. K. domaga się w n-rze 24 *Tygodnika Powszechnego* od Jana Wiktora, od „Odry" i Z. Hierowskiego sprostowania rzekomego fałszu popełnionego przez twierdzenie, że Ojciec św. Pius XI przemówił w 1933 r do pielgrzymki Polaków z Niemiec po niemiecku.

Odwołanie czy sprostowanie miałoby wyglądać mniej więcej tak: odwołujemy niniejszym powyższe twierdzenie, gdyż poznański „Głos Katolicki" stwierdza stanowczo na podstawie rozmowy z księdzem-Polakiem, który brał udział w tej pielgrzymce, że papież przemawiał po włosku a wchodząc i wychodząc ze sali audiencyjnej wypowiedział parę zdań po polsku.

Wobec tak stanowczego i autorytatywnego, popartego nazwiskami wielu świadków itd. oświadczenia, jasne jest, że poczuwamy się do obowiązku stwierdzenia, że — na tego rodzaju sprostowania jeszcze jest trochę za wcześnie. (red.)

urzeczywistnia się przyszłość

gdzie zachowały się stare domy. Od południowego wschodu wiodła do miasta Brama Polska, od zachodu Marchijska. Dziś malowniczo położony Łagów stał się miejscowością letniskową.

Znowu dalsza miejscowość, znowu ślad starej tradycji piastowskiej. Bytnica, niegdyś miasto, o położeniu podobnym jak Łagów, zdaleka pokazuje swój stary kościół i zamek Piastów śląskich.

Stąd niedaleko już do Krosna. Droga biegnie na spotkanie Odry — już idzie z nią ręka w rękę, równolegle. Na przeciwległym brzegu wita nas stare Krosno, z prawej zaś strony spada ku drodze wysoka ściana zieleni. To strome, otulone winnicami zbocze doliny, nagrzewające się do południowego słońca. Po wysokich, bez końca wyciągających się w niebo schodkach wspinamy się na wierzchowinę. Tu nie ma czasu odetchnąć — chciało by się tylko patrzeć i patrzeć. Grzeje słońce, niebo jest bardziej błękitne niż kiedy indziej, u stóp zielone winnice, a na dnie doliny tonie w zieleni piękna rzeka piastowska i cicho duma piastowskie miasto. Jest jakiś zniewalający urok w tym obrazie. Tak chyba muszą wyglądać południowe miasteczka, miasteczka krain, w których królują winne latorośle, a mieszkańcy po obiedzie chłodzą usta winem ... Lecz zadumę przerywa głos historii.

Patrzymy na miasto, objęte potrójnym uściskiem: Odry, jej starorzecza i Bobru. Idealne miejsce na pograniczny gród książęcy: ramiona obronne rzek, bród przez Odrę, stary szlak handlowy. Wcześnie, bo już w 1005 roku mamy pierwszą wzmiankę o Krośnie. Prawa miejskie otrzymało ono od księcia Henryka Brodatego. Tu Henryk Brodaty często przebywał na zamku, tu też zmarł w 1238 roku, tu przyjeżdżała święta Jadwiga, która nie gdzie indziej a w tym obronnym grodzie znalazła schronienie wraz z mniszkami trzebnickimi w czasie najazdu tatarskiego w 1241 r. Do roku 1476 należało Krosno do Piastów dolnośląskich, potem przechodzi w ręce Brandenburgii. Nowożytne dzieje miasta wykazują wyraźną zależność od rozbudowy linij komunikacyjnych. Miasto przeznaczone dzięki dogodnemu położeniu do udziału w życiu gospodarczym marnieje, gdzie je kolej omija, włączone w sieć ogólną komunikacji powraca do bujnego życia. Wojna niszczy piękne miasto w 50 procentach. Z przeszłości piastowskiej pozostanie kościół gotycki z XV w. (przebudowany na barok), pozostaną resztki zamku piastowskiego i resztki murów. Niewiele. Ale pozostanie jeszcze coś więcej: ta sama Odra, ten sam czar miasteczka i te same dzieje piastowskiej przeszłości. Tej żadna wojna nie przekreśli.

U końca trasy wiodącej do poznania i pokochania pięknej Ziemi Lubuskiej leży Zielona Góra, wypełniająca zbyt ciasne dla miasta dno kotliny. Toteż miasto o szerokim rozmachu gospodarczym wyspinało się z kotliny na zielone stoki pokryte winnicami. Tu, na tych wzgórzach, rodzi się przed wieloma wiekami tradycja winnicza. Zielona Góra, powstała w połowie XIII wieku, wkrótce zasłynęła jako miasto winnicze i tkackie. Dziś, mało zniszczona przez działania wojenne, jest sercem odbudowującego się życia gospodarczego Ziemi Lubuskiej. Ogrodnicy z Zaleszczyk całą swą miłość do winnych szczepów przelali na zielonogórskie ogrody. Inne tu warunki uprawy, są duże trudności, niemniej praca idzie coraz lepiej i wina zielonogórskie słyną na całą Polskę.

Drugą gałęzią przemysłu zielonogórskiego jest tkactwo, na czoło wysuwa się ogromna, przeszło 1500 robotników zatrudniająca fabryka „Polska Wełna".

A wreszcie na zakończenie trzeba napisać o czymś, co można by nazwać konkluzją w ocenie wartości Ziemi Lubuskiej. Mam na myśli ten wycinek z życia Zielonej Góry — a może i z życia całej krainy lubuskiej — który poza strefą pięknych krajobrazów, poza strefą piastowskiej przeszłości pozostaje. Który jest jedną nutą w akordzie współczesności i nitem spajającym Zimię Lubuską z resztą ziem Polski. O nitach właśnie chcę mówić, spawaniu, wagonach wychodzących z hal maszynowych jak piękne zabawki, o mostach, które połączą brzegi wielu rzek Polski. „Zaodrzańskie Zakłady Budowy Mostów i Wagonów" w Zielonej Górze są warsztatem, na którym odbudowują się elementy zniszczonej wojną Polski. Tu przychodzi z Huty „Pokój" z N. Bytomia surowiec, by wracać na całą Polskę jako żelazo umacniające dzieła wielkiej Odbudowy. Stąd idzie miesięcznie 240 węglarek, 42 cystern i 10 chłodni, jedynych w Polsce. Tu dla Poznania wykonuje się części ratusza a dla Gniezna części katedry. Tu pracuje 1800 robotników, głównie zza Bugu, tu inżynierowie, też repatrianci, pełni twórczego zapału, niestrudzenie przebiegają wielkie hale i czuwają nad tętnem życia. Najnowsze maszyny, najnowocześniejsze metody pracy — fabryka jest wielkim organizmem, w którym żaden wysiłek nie idzie na marne, a cała praca, zorganizowana i przemyślana do najdrobniejszego szczegółu, odbędzie się według zasad naukowej organizacji pracy: sprawnie, celowo, wydajnie. Tu, w „Zaodrzańskich Zakładach", jesteśmy świadkami procesu odbudowy, tu widzimy jej tempo. W 1945 roku w halach fabrycznych była ruina, śmieci. Dziś inżynierowie z dumą pokazują dzieło trzech lat i ze wzruszeniem mówią: „Gdy rozjedziecie się po całej Polsce, opowiadajcie, jak „Zaodrzańskie Zakłady" w Zielonej Górze pracują dla odbudowy Polski".

Tak więc wędrówka po Ziemi Lubuskiej daje syntezę życia polskiego: pięknej przeszłości piastowskiej i chlubnego wysiłku twórczego nowej Polski.

Łucja Mazurkiewicz

»Odwety« L. Kruczkowskiego

Warszawę nawiedziła ostatnio fala premier sztuk polskich: Hołuj Łopalewski, Świrszczyńska, Ważyk,

Zofia Małynicz i Karolina Lubieńska

ostatnio Lon Kruczkowski. Widać z tego, że nawoływanie o udostępnienie teatrów polskiej twórczości dramatopisarskiej odniosło skutek.

Tylko w ogniu prób i krytyk, nawet najsurowszych, byle sprawiedliwych, może się wykształcić zastęp pisarzy, umiejących przetransponować znamienne wydarzenia współcześnie zachodzące na zrozumiały język sceny, działającej na szerokie rzesze ludzi w sposób najbardziej sugestywny.

Społeczny język sceny zobowiązuje jednak pisarza do niesłychanie wnikliwego, a jednocześnie uczciwego stawiania problemów. Nie można fałszować rzeczywisto'ci. Ta sama fala życia przepływa przecież przez świadomość twórcy i widowni, która wyczuwa każdy fałsz, każdą tendencję autora, nie doceniającego w należytym stopniu zdolności odczuwania widza.

Ograniczając się z konieczności tylko do tych — zasadniczych naszym zdaniem — warunków, zamkniętych ramami szczupłego artykułu, należy stwierdzić, że Leon Kruczkowski ustrzegł się fałszu, odważnie zarysowując historyczny już dzisiaj dualizm myślenia i

Buszyński, Lubieńska i Butkiewicz w scenie z aktu III

działania naszego społeczeństwa z pierwszych lat po wojnie. Demokrata, działacz partyjny — Jagmin — jest reprezentantem jednego kierunku. Jego antagonistą jest konspirujący reakcjonista, były oficer kawalerii — pułkownik Okulicz.

Pamiętając fanatyzm i zaślepienie elementów reakcyjnych z okresu referendum (akcja sztuki toczy się w maju 1946 r.) — które jako pierwsza próba sił, przyniosła im klęskę, potwierdzoną później wyborami do sejmu — z tym większym zadowoleniem widzimy uczciwość Kruczkowskiego, malującego postać Okulicza silnymi pociągnięciami pióra. Okulicz to jednostka o ciasnych horyzontach myślenia politycznego, ale twardy człowiek walki. Jest to właściwie jedyna postać sztuki, którą widzimy w działaniu i to konsekwentnym od początku do końca.

Jagmina poznajemy z opowiadania lub jego własnych wspomnień. Jego działanie ogranicza się do dialektycznej rozprawy z konserwatywną ideologią reakcji, reprezentowaną przez młodego zamachowca — Julka, pozostającego pod wpływem Okulicza. Drugim czynem Jagmina, budzącym zastrzeżenia niektórych recenzentów, jest puszczenie wolno Okulicza w momencie, gdy znając jego wywrotową działalność, powinien go — jak twierdzą — oddać w ręce sprawiedliwości. Dowodzi to, że recenzenci nie znają psychiki widowni. Społeczeństwo nasze nie lubi władzy, niechętnie poddaje się jej przepisom, stosowanie prawa często traktuje jako przemoc. Obawiam się, że aresztowanie Okulicza zjednałoby mu niczym nie usprawiedliwioną sympatię widowni, co wprowadziłoby pewien fałsz w rysunku tej postaci. Wnikliwość i takt autora święcą w tym wypadku zasłużony triumf.

Świat postępu, reprezentowany przez Jagmina, ma dalszych przedstawicieli: Matyldę — córkę Okulicza, młodą dziewczynę, która przeszedłszy konspirację, powstanie, obóz w Niemczech, wróciła do Polski z wiarą w człowieka „ocalonego z kłów nienawiści". Nie rozumie zaślepienia politycznego swego ojca. Towarzysz Urbaniak — to jeden z szarych, prostych, ale świadomych swych zadań pracowników nowej rzeczywistości.

W grupie reakcji jest Julek, owoc miłości żony Okulicza — Sabiny i Jagmina. Romans miał miejsce przed wojną, około 1926 roku. Jagmin prześladowany przez policję polityczną musiał uciekać, tak że nawet nie znał swego syna i nie wiedział, że wychowaniem jego zajął się Okulicz, który konsekwentnie urabiał charakter chłopca na swój sposób. Na osobie Julka pokazuje autor straszliwy dramat młodego pokolenia, wciągniętego do roboty konspiracyjnej, wykonującego najcięższe, najodpowiedzialniejsze zadania, okłamywanego hasłami starszych, którzy za wszelką cenę chcą wrócić do władzy. Gdy Julek, wysłany przez Okulicza aby „zlikwidował" Jagmina, dowiedział się po nieudanym zamachu, że pędzony wydanym przez ślepą nienawiść rozkazem chciał zabić człowieka, który dał mu życie, zrozumiał cały absurd swej działalności i ohydę metod działania swych przełożonych. Oszukiwano go przez całe życie! Ucieczkę znajduje w samobójczym strzale.

Małżeństwo Lemańscy, goszczący u siebie Okuliczów, pozbawionych przez powstanie mieszkania w Warszawie, należą do klanu Bęc-Walskich. Pan Lemański pochodzi w prostej linii od aferzystów-spekulujących papierem, dewizami, antykami i t. p. Cechuje go bezideowość, mimo stwarzania pozorów przynależności do obozu reakcyjnego, pogoń za zyskiem i wygodnictwo życiowe. W walce idei trudno ich brać poważnie — tak też — raczej groteskowo — są ustawieni w sztuce; są jak ziarenka piasku w maszynie, która wcześniej czy później schwyta ich i zetrze w swych potężnych trybach.

Pozostaje jeszcze do omówienia postać Sabiny — żony Okulicza, kochanki Jagmina, matki Julka i Matyldy. Szczery odruch serca skłonił ją przed laty ku prześladowanemu komuniście. Przyznała się do tego, skazując siebie i — co gorsze — Julka na szykany, biorącego odwet, zdradzonego Okulicza. Nie potrafiła uchronić od zniekształcenia — „urabianej grubymi palcami męża" — psychiki syna. Żyła w cierpieniu, zamknięta w sobie, nizdolna do najlżejszego odruchu buntu; nie gra większej roli ani w dramacie osobistym Jagmina — jej miejsce zajął Julek — tocząca się walka polityczna obchodzi ją jedynie przez udział w niej Julka i męża. Czyżby symbol wielkiej jeszcze części naszego społeczeństwa — niezdolnej do samodzielnego myślenia — popychanej w tę i w ową stronę siłą przypadkowo spotykanych zdarzeń? Jasno rysuje się wniosek: — Takich ludzi należy nauczyć myśleć społecznie i politycznie, nie wolno bowiem dopuścić do marnowania tkwiącej w nich energi, zwłaszcza dzisiaj, gdy każdy człowiek, postawiony poza nawiasem czynnego życia, opóźnia odbudowę.

Przechodząc do scenicznego opracowania sztuki, należy stwierdzić, że Państwowy Teatr Polski zachował się w stosunku do swego opiekuna (zazdrościły pierwszej scenie państwowej wszystkie teatry prowincjonalne!) bardzo niewdzięcznie. Powierzenie *M. Wyrzykowskiemu* trudnej i wielce odpowiedzialnej w przypadku „Odwetów" roli reżysera było błędem, który okrutnie się zemścił na przedstawieniu. Nie upoważniała go do tej pracy pierwsza próba reżyserska w „Penelopie", która aczkolwiek wypadła zadowalająco — w porównaniu ze sztuką Kruczkowskiego, była zadaniem o wiele łatwiejszym. Nie wystarczy być dobrym aktorem, żeby poprowadzić sztukę, w której aktorstwo trzeba podporządkować problemom. Na tym tle powstało nieporozumienie między autorem i reżyserem. Kruczkowski chciał poruszyć sumienie widza dramatem osobistym postaci, zaplątanych tragicznie „pod kołami wielkich spraw", a realizator nie zdołał należycie uwypuklić elementów społeczno-politycznych, kształtujących ludzi dramatu, pokazując na scenie figury oderwane od rzeczywistości, żyjące własnym, odrębnym życiem wewnętrznym. Wątek psychologiczny dominuje skutkiem tego nad społecznym, zacieśnia dramat w wąskich ramach konfliktu osobistego, dając w efekcie akcenty melodramatyczne, które tak łatwo można było wyeliminować prostotą stosowania środków aktorskich. Szczególnie widać błędy koncepcji reżyserskiej w III akcie, w rozmowach, które Jagmin kolejno prowadzi z porucznikiem milicji, Sabiną i Okuliczem. Zagadnienia ideologiczne wdzierają się do dialogów siłą swej ważkości, nie przetransportowane przez psychikę aktorów, nie mając żywości, sztywnieją w dialektycznym *wypowiadaniu*.

Błędem tym należy także obciążyć odtwórcę postaci Jagmina — *G. Buszyńskiego*, który zagrał tę rolę w silnej, szlachetnie brzmiącej tonacji, zabarwionej patosem, ale nazbyt oschłej, pozbawionej siły przekonania wewnętrznego. Kto wie zresztą czy należy go o to winić. Wydaje się raczej prawdopodobniejszym przypuszczenie, że jest wadliwie obsadzony w tej roli. Byłby to drugi błąd teatru — nie do powetowania.

Akt I, stanowiący ekspozycję sztuki, w którym jest sporo akcentów nawet komediowych, obciążono — niepotrzebnie moim zdaniem — atmosferą finałowej katastrofy, a przecież nic jej jeszcze nie zapowiada.

Trudną rolę Okulicza gra *S. Butkiewicz*. W przeciwieństwie do Buszyńskiego stworzył postać pełną dynamicznego napięcia, tak sugestywną, że w III akcie przerasta swego przeciwnika

Utrzymana przez autora w jednym tonie rola Sabiny znalazła doskonałą wykonawczynię w *Z. Małynicz*.

Postać młodziutkiej Matyldy odtwarza *K. Lubieńska*, wykorzystując jedynie swoje idealne warunki psycho-fizyczne, bo do wykazania walorów aktorskich, sympatyczna skądinąd rola, nie daje możliwości.

Cz. Wołłejko w roli Julka pozwala przypuszczać, że jest to talent, który ma przed sobą duże możliwości. Oby tylko wykorzystane.

Zbigniew Pejot.

Jak postępować z Niemcami

(Dokończenie ze str. 1)

łecznych. N. p. ubogi — jak na niemieckie stosunki — chłop u którego byłem przez pewien czas zakwaterowany, dopóty, po pierwszym okresie uniżoności, okazywał mi w różny sposób lekceważenie, dopóki nie zrobiłem pewnego dnia piekielnej awantury. Od tej chwili stosunki nasze ułożyły się doskonale i miałem od niego sporo dowodów szczerej życzliwości, a gdy wyjeżdżałem żegnał mnie prawie ze łzami. Stanął mi żywo przed oczyma kiedy czytałem u Osmańczyka, że Niemcy są posłuszni i wartościowi tylko wobec silnych i że jedyną terapią rokującą u nich powodzenie, to metoda psychicznego wstrząsu.

Oczywiście „wstrząsami" i rozkazami nie można nikogo — więc i Niemców — nauczyć demokracji. Są one tylko konieczne do chwili, aż nie zrozumieją dostatecznie, że dawne nastawienie odbiera im wszelką szansę na przyszłość. Proces ten wymagający nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach kilkudziesięciu lat, przynajmnej jednego pokolena, musiałby iść w parze z bardzo powolnym i ostrożnym popuszczaniem cugli w miarę okazywania przez wychowanków dobrej woli. To samo odnosi się do przekazywania odpowiedzialności politycznej, do rozwijania form nemieckiego ustroju demokratycznego. Tak więc we wszystkim i tu należało by działać z żelazną konsekwencją i wielką przezornością. Żywą treścią demokracji są bowiem ludzie. Póki oni nie są odpowiednio wychowani wypaczą najlepszą ideologię. A elementy reakcyjne czy faszystowskie mogą wykorzystać urządzenia demokracji by ją obalić (vide rola hitlerowców i nacjonalistów w republice wejmarskiej). Dopiero gdy młode pokolenie przejdzie przez szkołę, która wdroży do krytycznego, samodzielnego myślenia i zademonstruje w praktyce korzyści płynące na prz. z uczniowskiego samorządu, demokratyczny parlamentaryzm będzie miał w Niemczech rzeczywiste podstawy do rozwoju.

Zgadza się zupełnie, że nacisk powoduje chęć zemsty, umacnia w oporze. Ale gdy polega nie na stosowaniu „środków wzbudzających postrach", a więc na terrorze, lecz na sprawiedliwej surowości, łagodzonej powoli wprawdzie lecz stale, postać rzeczy zmienia się zupełnie. Szczególnie o ile Niemcy będą sobe zdawali sprawę, że sami faktycznie regulują siłę i czas trwania tego nacisku. To zarazem wyrobi u nich poczucie wzrastającej odpowiedzialności za własny los. Trzeba im dać do wykonania zadanie, wszczepić ideę misji wobec siebie, zamiast wobec świata. Pozostaje tylko pytanie, czy propagowaniem idei heroizmu moralnego, bo o coś w tym rodzaju tu chodzi, można u Niemców wyprzeć stary mit amoralnego heroizmu germańskiego, polegającego na ubóstwieniu fizycznej siły.

Wszelkie nawroty niemieckiego zła, choćby najzręcznie maskowane musiałyby być oczywiście po drakońsku tępione, wszystko jedno czy występowałyby one we wcześniejszym czy późniejszym okresie. I dlatego długi nadzór nad całością życia niemieckiego jest nieodzowny. „Jeżeli chcesz Niemca nauczyć politycznego myślenia — zwraca jeszcze uwagę Richter — przygotuj się na to, je zajmie ci to całe życie". Tysiącletniego dziedzictwa nie da się wymazać z dnia na dzień.

Naszkicowana wyżej droga wiodąca od początkowego autorytatywnego rządzenia (okupantów) do demokracji (niemieckiej), droga polegająca na procesie wymieniania metod i urządzeń domu poprawczego na metody i urządzenia demokratycznej wolności, jest oczywiście konstrukcją teoretyczną, zakładającą maksimum sprzyjających okoliczności. W tej koncepcji zarówno rzecznicy twardej ręki jak też zwolennicy dawania szansy mają rację, bo uzupełniają się wzajemnie.

Skłóceni wychowawcy

Niestety w Niemczech rozpatrywanych jako całość wszystko poszło na opak. Nie tu miejsce na szczegółową krytykę polityki okupacyjnej poszczególnych mocarstw, ale na kilka momentów jednak trzeba zwrócić uwagę.

Otóż, rzecz wiadoma, największym niewątpliwie złem jest brak jedności między wychowawcami. Niemcy potrzebując właśnie w pierwszej fazie jednego konsekwentnego pana otrzymali ich aż czterech i to kłócących się między sobą. Pedagogiczne horrendum! Wyobraźmy sobie tylko klasę, w której każdy nauczyciel głosi co innego. W końcu żaden z nich nie będzie miał autorytetu, szczególnie jeżeli wychowawcy wciągną swoich pupili do rozgrywki, jak to widzimy w Niemczech. Dziś jest sytuacja taka, że większość Niemców z rozkoszą chłepce — mówiąc słowami Osmańczyka — „wszystkie pomyje okupanckich kłótni" a uczciwa mniejszość, ci którzy pragnęli się początkowo poprawić, są kompletnie zdezorientowani i rozczarowani. Odpowiedzialni i poważni publicyści niemieccy zwracają na to nieustannie uwagę. „Kryzys nawrócenia" ciągle się zaostrza. Niemcy zręcznie wykorzystują każdą okazję, by w ogniu „zimnej wojny" upiec swoją gąskę. Łatwo sobie wystawić z jakim zadowoleniem jedni nazywają Amerykanów imperialistami, a drudzy cytują niesłychane wypowiedzi zniesławiające Związek Radziecki wzięte wprost z pism dr. Goebbelsa i Rosenberga. Do tego dochodzi jeszcze, że wszyscy razem czują się znów ważni, akcje niemieckich mitów idą zdecydowanie w górę. Nie przeszedłszy jako całość przez twardą szkołę. Niemcy zyskują już demokratyczne formy bytowania, do których nie są absolutnie przygotowani. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

Jaka jest więc rada? Jak postępować z Niemcami biorąc pod uwagę nie pobożne życzenia, lecz nagą rzeczywistość. Otóż co do mylności drogi obranej przez Anglosasów nie może być dyskusji. Mimo, że jeszcze podczas wojny ogłaszali jeden plan reedukacji Niemców po drugim od samego początku okupacji nie umieli zdobyć się na konsekwentne działanie. Okazywali nieprawdopodobną pobłażliwość tam, gdzie należało wystąpić energicznie i stanowczo, a z drugiej strony drażnili nieraz pokonanych ostrymi pociągnięciami w sprawach trzecio- czy czwartorzędnej wagi. Celowali też w odwoływaniu zarządzeń pod wpływem niemieckich protestów i manifestacji, usprawiedliwiali się w gazetach, wdawali się w publiczne dyskusje nad słusznością swoich pociągnięć itp. Nie brali zupełnie pod uwagę z kim mają do czynienia i że w procesie wychowawczym nie można zaczynać od końca. Niemcy reagowali na te próby „nauki" albo drwinami i wzruszeniem ramion, albo wprost wykorzystywali naiwność swoich mentorów dla sabotowania pracy Zarządów Wojskowych. Obecnie Anglosasi kontynuując swoją przeważnie chybioną akcję wychowawczą, równocześnie podważają ją do reszty represjami i zakazami w odniesieniu do działaczy, polityków i dziennikarzy lewicowych. W efekcie całą akcję reedukacyjną w strefach zachodnich, przede wszystkim anglosaskich, należy określić jako wysoce niebezpieczne fiasko.

Inaczej zupełnie podszedł do zagadnienia Związek Radziecki. Wystąpił on od razu ostro, zastosował metodę wstrząsu zarówno psychicznego, jak politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Był nieubłagany i konsekwentny. A przede wszystkim zrozumiał, że demokracja będąca celem nie może być w wypadku Niemców punktem wyjściowym. Formy polityczne, które zastosowano w strefie wschodniej noszą charakter demokracji kierowanej, tzn. wykluczającej wyzyskiwanie wolności przez osoby, ugrupowania czy warstwy pragnące ją podważyć. Postawiono też Niemcom konkretne zadanie do wykonania i dano im uchwytną ideę, która może w umysłach Niemców zastąpić stare mity. Ale wymogi narzuconej Związkowi Radzieckiemu „zimnej wojny" musiały się też odbić do pewnego stopnia na postępowaniu z Niemcami w strefie radzieckiej. Szczególnie na szybkości realizowania radzieckiego planu wychowawczego. Jestem przekonany, że przewidywał on dłuższy okres silnej ręki i późniejsze znacznie przekazanie Niemcom pewnych części władzy. Mimo to i mimo dywersyjnych metod Anglosasów, apelujących bez żadnych skrupułów do niewygasłego również w Niemczech wschodnich szowinizmu i hitleryzmu, wychowawczy system sowiecki zdaje egzamin. On jeden budzi konkretne nadzieje. Do tego wniosku musi dojść każdy rzetelnie myśląsy człowiek.

Drzwi otwarte

My Polacy, nie okupując Niemców nie mamy okazji do bezpośredniego wpływania na ich wychowanie. Niemniej sam fakt sąsiadowania z nimi daje nam pewne atuty do ręki, które powinniśmy wykorzystać. Sprawa ta wymaga osobnego naświetlenia. Tyle tylko powiem, że najistotniejszy polski wkład do rozwiązania problemu niemieckiego polega na przyłożeniu mocnej polskiej ręki do... polskiego pługa i polskich maszyn. To jest nasza polityka silnej ręki, która w każdym wypadku okaże się słuszna. Uprawiając ją wytrwale przyczynimy się stokroć więcej do naszego bezpieczeństwa i do otrzeźwienia i przeobrażenia Niemców, niż przez manifestacje i protesty. Taka polityka jest w najlepszym tego słowa znaczeniu propolska nie będąc antyniemiecką, pozostawia drzwi otwarte między obu narodami. Oto, jak mi się wydaje, rzeczywisty ralizm polityczny i oto szansa, którą my ze swej strony możemy dać Niemcam. Czy z niej uczciwie skorzystają — nie wiadomo. Nim to się stanie, wolno nam wątplić i wolno nie dowierzać. To nasze prawo i więcej — nasz obowiązek.

Egon Naganowski.

Korespondencja

W sprawie listu Papieża

Szanowny Panie Redaktorze!

List papieża Piusa XII do biskupów niemieckich jest na tyle niedwuznaczny i jasny, że każdy komentarz, choćby najszerszym patriotyzmem podyktowany, nie podkreśli silniej jego antypolskiego tenoru, niż czyni to on sam wymową suchego tekstu. Wymowa ta byłaby jednak niepełna, gdyby nie doczekały się objaśnienia wymienione w liście nazwiska niemieckich dostojników kościelnych.

Kardynała Bertrama zilustrowały już słowa Jana Wiktora, przytoczone przez Zdzisława Hierowskiego we wstępie do broszurki p. t. „Papież Pius XII do biskupów niemieckich" — zresztą postać tego Krzyżaka w kardynalskiej sukni jest społeczeństwu polskiemu, zwłaszcza w zachodniej Polsce, dobrze znana.

Ale papież wspomina w swym liście jeszcze jednego: biskupa Maksymiliana Kallera — w słowach następujących: „Powierzając swego czasu jednemu spośród was, biskupowi Maksymilianowi Kallerowi, specjalną troskę o potrzeby uchodźców, w pierwszym rzędzie mieliśmy w delegowaniu go na celu zaradzenie brakowi kapłanów w tych okręgach diaspory. Przystąpił on do swej pracy z właściwą mu energią i ofiarnością, został jednak, ku wielkiemu Naszemu bólowi, niespodziewanie powołany do wieczności, pozostawiając posłannictwo niewykonanym ...". Otóż biskup Kaller spełniał już pewne „posłannictwo" w okresie międzywojennym i to na polskich terenach autochtonicznych, na Pograniczu, jako kierownik Administratury Apostolskiej (t. zw. praelatura nullius) w Pile, w latach 1926 — 31. Ukrywający się pod pseudonimem Andrzej Krajna-Wielatowski autor książki „Miejscowości Pogranicza", autochton, znający dobrze miejscowe stosunki, tak o nim pisał wówczas (str. 29 i 30): „Zapisał się on (tj. biskup Kaller) bardzo smutnie w historii Administratury Apostolskiej walką o ujarzmienie dusz polskich. Ks. prałat Kaller nakazał usunięcie z kościołów wszystkich sztandarów bractw i towarzystw kościelnych, które miały tła białe i czerwone. Tego rodzaju zarządzenia jak kasowanie nabożeństw z kazaniami polskimi, zaprowadzenie w czysto polskich parafiach nabożeństw w języku niemieckim, zabranianie śpiewania polskich pieśni kościelnych, zakaz kolportażu polskich książek o treści religijnej na terenie kościelnym, polecanie wiernym czasopism niemieckich o charakterze szowinistycznym ... były za czasów jego rządów w Pile dosłownie na porządku dziennym. Szczególnie surowemu rygorowi poddał księży - duszpasterzy Polaków". „... w r. 1930 zabronił księżom Polakom zajmowania się w ogóle akcją wyborczą ... Księżom Niemcom wolno było w tym samym czasie z niebywałym nakładem sił i pieniędzy agitować za listą centrum...". A w „Nowinach Codziennych" (z 4 marca 1934) czytaliśmy: „...Mamy wiele innych przykładów świadczących o wrogim nastawieniu księży niemieckich do nas, Polaków. Pamiętamy jeszcze ciężkie czasy kiedy to ks. biskup Kaller na Pograniczu zakazał nosić kolory biało czerwone w obawie, że przypominają one Polakom ich polskość. Zaznaczamy jednakowoż, że chodziło tylko o zestawienie (przypadkowe — uw. wł.) kolorów białego i czerwonego, a nie o barwy narodowe". Z dalszego zaś ciągu tegoż artykułu dowiadujemy się, że przykład przywódców znalazł żywy oddźwięk u duchowieństwa podwładnego: „Zdarzały się takie wypadki że księża niemieccy wynosili z kościoła drogie dywany, ponieważ były przetykane biało-czerwonymi nitkami, że ministraci nasili podczas wielkich uroczystości na rozkaz księdza komże koloru białego i czarnego jedynie dla tego, by uniknąć zestawienia kolorów białego i czerwonego.".

Jakby w uznaniu „zasług" ks. prałat Kaller mianowany został biskupem warmijskim, gdzie znowu miał okazję spotkać się z Polakami ...

Zaznaczamy na koniec, że poza historyczną postacią biskupa Kettelera (1811 — 1877) tylko ci dwaj: kard. Bertram i biskup Kaller doczekali się chlubnego wyróżnienia w liście papieskim.

mgr Henryk Zieliński
Bieżanów (kolonia), k. Krakowa

Protest

Szanowny Panie Redaktorze!

Za pośrednictwem Pańskiego pisma pragniemy podać do wiadomości, że jako członkowie jury zakładamy protest przeciw orzeczeniu Sądu Konkursowego Ziemi Nyskiej z dnia 29 maja 1948, które zapadło (z wyjątkiem drugiej nagrody) większością głosów. Wobec tego, że sposób ogłoszenia wyników Konkursu nie uwzględnił poczynionych zastrzeżeń, uważamy za konieczne złożyć następujące publiczne oświadczenie.

Nie rozważając wartości artystycznej pracy nagrodzonych, musimy wziąć w obronę powieść „Ostatnia Gwiazda" (godło Podkowa) i „Poemat o Nysie" (godło Cień cienia). Prace te, którym Sąd konkursowy odmówił nie tylko nagrody ale nawet wyróżnienia, stanowią naszym zdaniem w skromnym plonie konkursu dzieła prawdziwej sztuki.

Powieść „Ostatnia Gwiazda" jest artystyczną próbą zbeletryzowania historii Mikołaja II, księcia opolskiego, ujawnia samodzielny stosunek do źródeł i przedstawia własną strukturę językową. Cykl liryków „Poemat o Nysie" przynosi poetyckie spojrzenie na Nysę, którą wprowadza jako nowy temat do współczesnej poezji. Ponieważ koperty z godłami zostały otwarte w czasie posiedzenia Sądu Konkursowego, ujawnione zostały nazwiska autorów prac niewyróżnionych. Wobec tego poczuwamy się do obowiązku stwierdzić, że autorem pracy „Ostatnia Gwiazda" jest Wł. Bodnicki, autorem „Poematu o Nysie" Jan Sztaudynger.

W okresie, kiedy kieruje się zewsząd apele literackie i społeczne do pisarzy, by podejmowali w twórczości zagadnienia Śląska i ziem odzyskanych, podobnie niefrasobliwe wyeliminowanie z materiału konkursu dzieł literackich, spełniających warunki sztuki pisarskiej i tematu, uważamy za decyzję szczególnie przykrą i nieoczekiwaną.

Oświadczeniem tym chcemy bodaj w części wyrównać krzywdę, uczynioną autorom, których twórczość została zlekceważona.

Roman Lutman
Tadeusz Mikulski

Wrocław, dnia 7 czerwca 1948 r.

Do Anny Kowalskiej

Do artykułu Pani p. t. „Świeccy święci" chcę dorzucić, odnośnie bohatera artykułu, kilka słów od siebie.

W małym obozie w Buchenwaldzie w grudniu 1939 r., w namiotach płóciennych bez sienników i słomy, przy mrozie dochodzącym do 24 st. C pozostała niewielka garstka pół - ludzi, oczekujących śmierci. Postanowiono nas wytępić zimnem a przede wszystkim głodem.

W takich warunkach był między nami ten, o którym pisała Pani w swoim artykule: tam był ruchliwy, czynny i ludzki. Zawsze pełen wiary i nadziei przynosił kolegom prawdziwe czy nieprawdziwe wiadomości: o upadku hitleryzmu, o zaburzeniach wewnętrznych w Niemczech, kończąc, że już w tym tygodniu nas zwolnią i t. d. i t. d.

W dzień wigilijny, kiedy niewielka resztka, bo zaledwie 20 proc. pozostałych przy życiu kościotrupów ułożyła się głodna wieczorem na twardych deskach i rozpamiętywała dawne wieczerze, przeżyte między swoimi, wymieniając podawane potrawy, biesiadników i popłakując, przyszedł do mnie Karabanik, wywołał mnie z namiotu i dał mi coś w zawiniątku z poleceniem rozdania kolegom. Były to keksy. Po policzeniu keksów i kolegów, jak św. Mikołaj obszedłem koje, rozdałem keksy, budząc jednych ze snu, drugim przerywając wspomnienia wigilijne. Rozdając, wymieniałem ofiarodawcę i składałem życzena od niego i siebie wytrwania i powrotu.

W normalnych warunkach przykład ten może nie mówi wiele. Powtarzam, walczyliśmy o utrzymanie życia i zawsze byliśmy nieludzko głodni. Całodziennym wyżywieniem był niepełny litr wody niesolonej z kapustą lub burakami, otrzymywany około południa i wieczorem 200 gr. chleba — nominalnie, bo w rzeczywistości było go znacznie mniej. Przy tym karano nas za jakieś rzekome przewinienia głodówkami, trwającymi od 1 — 3 dni. Przeciętna waga pozostałych przy życiu wahała się od 35 — 50 kg, a więc były to dosłownie kościotrupy.

Uparte zimno i ciągły głód dziesiątkowały nas, a każdy kęs chleba szedł na wagę złota. Marzyliśmy głośno i po cichu tylko o jedzeniu, otrzymywane porcje jedliśmy powoli, w wielkim skupieniu, aby nie zgubić najmniejszej kruszynki. W takich warunkach ob. Karabanik zdobywszy trochę keksów (dwa tygodnie przed Wigilią), przechował je (z jakim wysiłkiem woli), nawet ich sam nie rozdzielił — ba, nie zjadł wcześniej, a przecież był głodny!

Takim był w bardzo ciężkich chwilach swego życia ob. Karabanik — Człowiek!

Dr inż. Tadeusz Laskowski
Katowice

P. S. Inne przykłady z życia ob. Karabanika mogą podać Koledzy z Buchenwaldu: inż. Koźmiński Kazimierz, Radlin, Kop. Ema; ob. Stasiak Leon — Województwo w Katowicach Mgr Szczypa Władysław — CZPW Powstańców 46 Katowice, inż. Kulejewski Stanisław — Mysłowice, Zjednoczenie Jaworznicko - Mikołowskie. Inż. Krupiński Bolesław, Katowice, Rybnicka 7, Inż. Gajewski Jan, Bytom, Bytomskie Zjednoczenie P. W. Inż. Zyzak Adam Radlin, kop. Ema, Inż. Mrozowski Mieczysław — Gliwice, Zjednoczenie Gliwickie P. W. i jeszcze kilku innych, gdyż z ilości 1.300 ludzi w małym obozie w Buchenwaldzie zostało nas przy życiu zaledwie ok. 40.

Wysepki czy archipelagi?

Czołowy publicysta „Tygodnika Powszechnego", X. Jan Piwowarczyk polemizuje ostatnio z X. Marianem Michalskim n. t. wartości „pełni Ducha" i „zewnętrznej formy" w dziedzinie organizacji życia katolickiego. M. zd. X. M. Michalski ma pełną rację, przeciwstawiając się przecenianiu zewnętrzn. formy organizacyjnej. Ale — nie o to tu nam chodzi: w tej chwili.

Pragniemy zwrócić uwagę na bardzo znamienny passus w artykule X. Piwowarczyka p. t. „Katolicka organizacja". Pisze on tam j. n.:

„Europa ... **Polska stała się prawdziwym „krajem misyjnym" w którym chrześcijaństwo prawdziwe i szczere ogranicza się do małych wysepek, oblanych morzem pogaństwa"... (sic!)**

Czy to pesymizm? Czy może przesada, proste zagalopowanie się w potoku wywodów publicystycznych?

I. Czy w Polsce jest z chrześcijaństwem i pozycją Kościoła katolickiego aż tak źle, że **nie ma prawdziwego chrześcijaństwa o potężnym zasięgu**, że są jeno maleńkie rezerwaty, a reszta to — morze pogaństwa?.

Czy wolno nad tym pytaniem przejść do porządku dziennego? Jak jest istotnie?

Gdyby było istotnie tak, jak pisze X. Piwowarczyk, to fatalne świadectwo dla dotychczasowej pracy Kościoła w Polsce. Jak pracował Kościół katolicki przez kilkaset ładnych lat, skoro dziś „prawdziwe chrześcijaństwo ogranicza się do małych wysepek"?...

Czy nie było właśnie tak, że pewne czynniki miarodajne w Kościele katolickim przywiązywały zbyt wielką wagę do form zewnętrznych, przeoczając podstawowe zasady Ewangelii, że Bóg szuka czcicieli „w duchu i w prawdzie", że tylko „duch ożywia"?

Czasem poszło to tak daleko, że pozostały formy — jak puste łupiny, duch wywietrzał całkowicie.

Czy nie trzeba zatem wrócić do pracy od podstaw, do korzeni chrześcijaństwa (-ad radicem Evangelii) by odkopać te krynice mocy, którymi imponował całemu światu chrystianizm pierwszych wieków, chrystianizm społeczny, żywy bohaterski? —

II. A może w Polsce jest — jednak — lepiej, niż w reszcie Europy?

X. Piwowarczyk potraktował trochę ryczałtowo swój pogląd na sytuację religijną w Polsce. Ujmując zaś w ten właśnie sposób swoją ocenę, posunął się do ryzykownego osądu. Obowiązkiem obiektywnego obserwatora jest: zrewidować ten osąd.

I — wówczas przekonamy się, że to nie małe wysepki, ale całe archipelagi reprezentują chrystianizm (ściśle mówiąc: Kościół katolicki) w Polsce.

Inna rzecz: czy te archipelagi reprezentują u nas siłę twórczą i taki dynamizm, by można spokojnie patrzeć w przyszłość...

Tu można by snuć poważne refleksje...

W każdym razie to jest pewne, że pewne formy zewnętrzne, jak również pewne organizacje religijne, przekazane przez tradycję, muszą ulec przebudowie, adaptacji, jakiejś — sui generis — reformie. Wystarczy tu wymienić: zakony, bractwa kościelne. Ale o tym — potem.

Henryk Mielecki
Kraków.

Wizyta pisarzy czeskich

Franciszek Nechvátal

W rok po pierwszej oficjalnej wizycie w Polsce przedstawicieli literatury czeskiej i słowackiej znów gościmy przez miesiąc grupę pisarzy czeskich. W skład jej wchodzą: wybitny poeta Franciszek Nechvátal, przedstawiciel młodego pokolenia poetów Michał Sedloň, oraz młody historyk literatury i zasłużony już tłumacz literatury rosyjskiej na język czeski Sergej Machonin. Towarzyszy im reprezentant redakcji tygodnika „Svet v obrazech" Fr. J. Hlinowsky.

Pisarze czescy po kilkudniowym pobycie w Warszawie, zwiedzili Kraków, Oświęcim, zatrzymali się dwa dni w Katowicach, skąd udali się do Poznania i na Wybrzeże, gdzie spędzą kilkanaście dni. Ostatnimi etapami ich podróży po Polsce będą Łódź i Wrocław, dokąd przyjadą w pierwszych dniach lipca.

Pobyt w Katowicach był mało dla nich interesujący, niemniej umożliwił żywo interesującym się życiem literackim Czechosłowacji pisarzom katowickim zetknięcie się z gośćmi i przedyskutowanie niektórych zagadnień współpracy i wymiany literackiej. W ten sposób środowisko katowickie, które najczynniej współdziałało w pracy nad zbliżeniem kulturalnym polsko-czechosłowackim, nawiązało nowe cenne kontakty.

Są one zwłaszcza ważne ze względu na osobę Franciszka Nechvátala, który zajmuje poważne stanowisko w biurze współpracy kulturalnej Ministerstwa Informacji w Pradze i przyrzekł literatom polskim szereg ułatwień w zakresie otrzymywania czeskich publikacji literackich.

Franciszek Nechvátal, urodzony w r. 1905, należy do tej samej generacji poetyckiej, co Fr. Halas. Debiutował stosunkowo późno, bo dopiero w r. 1932. Dorobek jego obejmuje 19 tomików wierszy, które wysunęły go na czoło społecznej grupy poetów. Obok poważnej pozycji poety Nechvátal posiada wielkie zasługi jako tłumacz poezji hiszpańskiej na czeski (m. in. Pabla Nerudy, Frederica Garcia Lorci, Miguela de Unamuno). Ostatnim dziełem Nechvátala jest poemat „Październik". (h)

Wśród czasopism

Państwo nie lubią okupacji, obozów, martyrologii i tego wszystkiego, co się na ten temat pisze, prawda? Rozumiem to, ale od czasu do czasu jednak trzeba i o tym porozmawiać, i na ten temat coś przeczytać. Zwłaszcza, że naprawdę tak mało wiemy o tym wszystkim, cośmy przeszli jako naród i jako kraj. „Literaci i dziennikarze nasi — pisze Zygmunt Mycielski w numerze 23 *„Odrodzenia"* — opierają się przeważnie, gdy chodzi o czasy okupacyjne, na własnych przeżyciach lub na opowiadaniach i świadectwach tych, którzy przetrwali Oświęcim, getto czy powstanie warszawskie. Dopiero akta niemieckie odsłaniają całość systemu, w którym — jak powiada Hofman w posłowiu do książki pt.: „Zburzenie Warszawy" — Aktion oznaczało mordowanie, durchkämmen — zabijanie, a Arbeitseinsatz — niewolnictwo."

Są to słowa z obszernego, dokumentarnego artykułu „Sprawa Skiwskiego i towarzyszy", opartego na dokumentach zebranych na zbliżający się krakowski proces Bühlera. Jerzy Waldorf w „Przekroju" porobił przy zużytkowaniu tego samego materiału trochę dowcipuszków i ujął sprawę od strony jej śmiesznostek, drobnych łajdactw, nadużyć, kombinacji itp. Zdaje się, że zupełnie niepotrzebnie i na użytek niewybrednych czytelników, którzy po tym będą dyskutować w ten mniej więcej sposób: „moja pani, a czytała też pani, ile to ta Frankowa, moja pani, miała futer? Taka zdzira!" Przy takim traktowaniu sprawy, jak u Waldorfa, istnieje obawa, że społeczeństwo z przebiegu procesu nie dowie się istoty rzeczy i nie wyprowadzi właściwych wniosków.

A my jeszcze ciągle musimy interesować się sprawami, jeszcze ciągle musimy rozważać i dochodzić do ważnych refleksji na temat spraw, które się przez nas w lata okupacji przewaliły. Strzeżmy się ich całkowitego zapomnienia. Oczyszczajmy z ich goryczy i bólu serca, ale nie usuwajmy ich z myśli, nie pozwólmy, by myśl od nich uciekała. Bo naprawdę zbyt mało jeszcze wiemy o szatańskiej konstrukcji tej machiny, która miażdżyła nas w swoich trybach. Zbyt mało wiemy, ile było w tej konstrukcji precyzji, przemyślenia, celowości, jak dalece był eleminowany wszelki przypadek, jak dalece każde nieszczęście, które na nas spadało, było wynikiem świadomych zamierzeń. A nie wiemy także, do jakich granic upodlenia i zdrady doszli nasi kolaboracjoniści, jakiego typu kanalie stanowili Skiwski, Burdecki i ich nieliczni towarzysze z „Przełomu".

O tych właśnie sprawach mówi w przededniu procesu Bühlera Zygmunt Mycielski. Autor cytuje tu obficie liczne niezwykle charakterystyczne wypowiedzi Hansa Franka na temat polityki niemieckiej w stosunku do Polaków, polityki, która po wybuchu powstania w getcie warszawskim zaczęła szukać sposobów pozornego złagodzenia kursu, pod czego pokrywką miała być nadal prowadzona akcja likwidacyjna Polaków i Żydów. Z dokumentów procesu Bühlera Mycielski wyjmuje jedno z oświadczeń Franka z roku 1944, a więc z czasu, gdy istniał już „Przełom" spółki Skiwski - Burdecki, gdy prowadzono już owe manewry markujące „łagodny kurs". Brzmi ono tak: *„Pamiętajmy, że mamy program w szufladzie, program, który spycha Polaków do roli siekaniny. Jeżeli wygramy wojnę, o nic wtedy nie będę dbał. Mogę zrobić siekaninę z Polaków, Ukraińców i wszystkich tych elementów, które pozbawione są jakiejkolwiek wartości ... Jak długo jednak jesteśmy w stanie wojny, musimy się liczyć z tą ludnością ... Wiem dokładnie, że Polacy nie mogą na tym obszarze pozostać i że na nim nie pozostaną. Procedura likwidacji musi być uproszczona. Uprościmy jeszcze bardziej sumaryczne postępowanie ... Zamknięcie Żydów w getcie było błogosławieństwem. Należy być wdzięcznym za dekret, który pozwala ich zabijać."*

Ludziom, którzy w ten sposób formułowali swój program wobec Polaków, Skiwski i Burdecki służyli za doradców i ekspertów w sprawach środków propagandy, jakie należy zastosować dla pozyskania sobie Polaków. Mycielski przytacza teksty ich memoriałów, raportów, rad i zaleceń nacechowane najzupełniejszą pewnością siebie i poczuciem osobistego bezpieczeństwa. Zdumiewającym nazywa Mycielski fakt, że ludzie ci w zamian za swe usługi i rady nie usiłują niczego od Niemców wytargować. I to jest może najbardziej zadziwiające w tej sprawie. Wszystkie tajne raporty i rady Skiwskiego i Burdeckiego służyć mają tylko skuteczniejszemu maskowaniu istotnych celów polityki niemieckiej — i wynika z nich jasno, że cele te były znane autorom wymienionych raportów. Nie chodziło im nawet o złagodzenie kursu, lecz o złagodzenie pozorów. Tym samym twierdzić możemy, że linia polityczna Skiwskiego zbiegała się z linią polityczną Franka — kończy Mycielski, który stwierdza następnie, że zasadą przyjętą przez ONZ niewydawania kolaboracjonistów pozwala tym dwom zdrajcom przebywać spokojnie za granicą.

Drugą cenną pozycję tego samego numeru *„Odrodzenia"* są świetnie napisane, niezwykle wnikliwe i ostre „Notatki o Oświęcimiu" Jerzego Putramenta, którego niedawno skrzywdziłem zarzucając mu ambasadorskie milczenie. Putrament pisze o muzeum oświęcimskim. Protestuje przeciwko pokazywaniu go dzieciom, które wynoszą stamtąd jedno tylko wrażenie: jak łatwo jest zabijać masowo ludzi. Ostro krytykuje przewodników, którzy wyrobiwszy się na zwykłych muzealnych oprowadzaczy traktują rzecz całą z wielką rutyną i niemal zupełną beztroską. Z notatek Putramenta wynika, że są niemal figlarni. Najważniejsze jest zakończenie notatek: problem przestępstwa w obozie, oceny winy więźnia oraz kary za nią. Powołując się na powieść Andrzejewskiego Putrament analizuje skomplikowany charakter przestępstwa obozowego i domaga się utworzenia Trybunału Obywatelskiego złożonego z byłych więźniów dla osądzania, czy w poszczególnych wypadkach nastąpiło przekroczenie ludzkiej normy, obowiązującej w społeczeństwie więźniarskim i jąkie konsekwencje z tego należy wyciągnąć. Putrament kończy: „Oby tylko pamięć o zmarłych kolegach i własnej męce nie przesłoniła mu (Trybunałowi) jednej, jakże niezbędnej nam dzisiaj rzeczy: łaski. Tej bym właśnie wobec byłych więźniów obozowych nigdy nie szczędził."

Obydwa te artykuły dają wyraz najistotniejszym problemom, które wiążą się u nas z okupacją. Jest to problem losów narodu pod terrorem hitlerowskim i problem win, jakimi obciążyli się niektórzy ludzie w Polsce za czasów okupacji. Obydwu tym zagadnieniom literatura nasza poświęciła już sporo uwagi. Mimo ich wielu, czasami nawet doskonałych pod względem artystycznym, czasami wartościowych pod względem dokumentarnym opracowań, daleko nam jeszcze do zgłębienia tych wszystkich ponurych spraw. Zdaje się, że nie weszły one jeszcze dostatecznie silnie w krew naszej literatury powojennej, że zbyt często pisarze ślizgają się po ich powierzchni lub często próbują zgłębić je bez większych rezultatów analitycznych. Ale nie popędzajmy pisarzy. Te sprawy dojrzewają w nich powoli. A łaska, o którą apeluje Putrament, nie znalazła jeszcze swego w pełni przekonującego wyrazu ani u Andrzejewskiego, ani u Zawieyskiego czy Hołuja. Czujemy jej wewnętrzną potrzebę i szukamy dla niej form. Brak nam mierników i autorytetów moralnych. Bądźmy banalni: brak nam pisarzy, którzy byliby sumieniem narodu, na których książki czekano by jak na wyroki. (ki.)

P. S. Ciekaw jestem, które pisma w Polsce powierzą wybitniejszym pisarzom reprezentowanie ich na procesie Bühlera, które redakcje zechcą mieć z tego procesu coś więcej niż dziennikarskie sprawozdanie i czy wykorzystany zostanie ten proces dla umożliwienia pisarzom zebrania materiału i ogarnięcia całości naszej rzeczywistości okupacyjnej, która znajdzie swe odbicie w przebiegu procesu.

Niszczy radykalnie robactwo:

PLUSKWY, mole „Plagin"

SZCZURY, myszy „Trutol"

KARALUCHY, szwaby „Robal"

W przeciwnym razie zwracamy pieniądze.

Sprzedają apteki i drogerie.

Krótkie spięcia

EGZOTYKA

Niedawno bawił w Polsce jako gość biura Komitetu Światowego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu, pisarz brazylijski Jorge Amado. Ponieważ Jorge Amado nie jest bliżej znany polskiej publiczności, więc „Odrodzenie" postąpiło zupełnie słusznie, że w nr. 25-tym zamieściło — tuż zresztą obok znakomitego działu „Camera Obscura" — krótką ale za to węzłowatą charakterystykę tego literata.

Naprzód więc dowiadujemy się, że:

„Jorge Amado jest Brazylijczykiem. Urodził się w 1912 w prowincji Bahia, koło miasteczka Ilheus".

W porządku. Ponieważ już wiemy, kiedy Jorge Amado się urodził, więc możemy śmiało śledzić teraz rozwój jego twórczości. Otóż „Odrodzenie" informuje nas dalej, iż Amado:

„... w dziewiętnastym roku opublikował pierwszą swą powieść „Kraina Karnawału".

W dziewiętnastym roku, to znaczy w 1931-szym. Potem jak się dowiadujemy napisał szereg innych powieści, a prócz tego brał też żywy udział w ruchu politycznym swego kraju, co „Odrodzenie" określa w takich słowach:

„J. Amado był ponadto bardzo czynny w brazylijskim ruchu ludowym (Front populaire bresilien)".

Wynikałoby więc z tego, że w Brazylii nazwę ruchów politycznych określa się po francusku, czego właśnie dowodzi ów „Front populaire bresilien". Możliwe.

Myśmy wprawdzie myśleli, że w Brazylii wszystko, łącznie z partiami politycznymi, nazywa się po portugalsku, no ale widocznie nie mamy racji.

Zresztą przygważdża nas pod tym względem kompletnie dalsza informacja, podana przez „Odrodzenie" tej treści:

„... Jorge Amado wraca do swojej Bahii. W tym czasie powstaje jego arcydzieło „Ziemia zgwałcona" (Terre violentée)".

A więc okazuje się, że w Brazylii nietylko określa się po francusku ruchy polityczne, lecz również po francusku pisze się powieści, czego dowodem jest właśnie ta „Terre violentée". Swoją drogą ciekawi byśmy byli, czy Jorge Amado przetłumaczył ją też na portugalski.

Inna rzecz, że świat francuski otacza pana Jorge Amado wprost fantastyczną adoracją. Posłuchajmy mianowicie, co na ten temat donosi nam w końcu „Odrodzenie":

„Laureat nagrody Nobla, poeta francuski Fryderyk Mistral, zaznajomiwszy się z twórczością Amado, napisał:

„Jest to największy powieściopisarz współczesny nie tylko Brazylii, lecz całej Ameryki Łacińskiej. Poza tym jest to człowiek wierny swemu ludowi."

Rzeczywiście jest adoracja taka, że po prostu w głowie nam się kręci. Poeta francuski bowiem i laureat Nobla Fryderyk Mistral umarł w roku 1914-tym (nagrodę Nobla dostał w 1904-tym) Wówczas Jorge Amado miał 2 lata! Możliwe, że rzeczywiście już wówczas jego twórczość mogła budzić pewien podziw — na przykład u rodziców — ale żeby aż do tego stopnia co u Mistrala, to mimo wszystko jest już tutaj lekka przesada...

Chyba, że wszystko to sobie tak wytłumaczymy, iż Mistral zapoznał się z twórczością Amado (pierwsza jego powieść w r. 1931) w zaświatach i stamtąd nadesłał swoje na ten temat uwagi do „Odrodzenia" drogą spirytystyczną.

Carramba! Guadelupa! Non sputare nella carozza!!! — jak mówią w Kozienicach.

NIEJAKI X

„Rozdroże" sosnowieckiego teatru

Teatr Miejski w Sosnowcu kończy sezon a zarazem i samodzielne istnienie. Od września bowiem istnieć już będzie jako placówka Teatru Państwowego w Katowicach o bardzo niefortunnej nazwie „Grupa Wyjazdowa".

Zwolenników takiego rozwiązania problemu teatralnego w Sosnowcu było sporo poza samym Sosnowcem, który „ma ambicję" utrzymania teatru samodzielnego, ale nie chce dać na to pieniędzy. Zasadniczo wobec stanu, jaki wykazał teatr sosnowiecki w sezonie minionym, reformę tę należy uznać za słuszną i pożyteczną i Sosnowiec nie powinien rozdzierać nad nią szat. Teatr sosnowiecki poza kilkoma lepszymi przebłyskami był teatrem słabym a często teatrem wręcz złym. Wskutek tego jego oddziaływanie kulturalne było mocno ograniczone, a przez poziom niektórych spektakli wręcz szkodliwe. Obiektywnie stwierdzić trzeba, że ustawiczne niedomagania finansowe, niemożność zaangażowania lepszych sił aktorskich i reżyserskich, intensywna i pospieszna praca zespołu wpłynęła na ten stan rzeczy. Ale nie ulega wątpliwości, że dłużej trwać to nie mogło. Jeśli więc dokonano zasadniczej rekonstrukcji teatru, jeśli firmuje go państwo — należy przypuścić, że Sosnowiec otrzyma w przyszłym sezonie teatr lepszy. Pewną miarą, jaką będziemy mogli go mierzyć, będzie Mała Scena w Katowicach. Myśleć będziemy przy tym o pierwszym sezonie tej Sceny, gdyż ostatni poza „Ślubami panieńskimi" nie może stanowić artystycznego miernika. Jestem przekonany, że jeśli sosnowiecka placówka teatralna zaprezentuje w przyszłym sezonie ten poziom, ambicje Sosnowca będą zaspokojone. Bo chodzi tylko o porządny, podnoszący smak teatr. Nazwa jest obojętna.

Chodzi o to, by do przeszłości należały raz na zawsze takie spektakle, jak wystawione ostatnio „Rozdroże miłości" Jerzego Zawieyskiego. Sztuka jest bez wątpienia po krakowskim sukcesie w Starym Teatrze przereklamowana i posiada liczne błędy, ale ponieważ miałem nieszczęście poza lekturą jednego aktu widzieć ją tylko w Sosnowcu, nie będę o niej na tym miejscu pisał. Krzywdę zrobiłbym jednak aktorom, gdybym nie podniósł, że z zespołu, który stanął poniżej wszelkiego poziomu wyróżniła się bezwzględnie przyzwoitą grą z prawdziwego zdarzenia p. Lidia Kowacka, że p. E. Orłowski włożył w rolę dużo pracy i osiągnął rezultat na ogół poprawny, że tak samo zaprezentował się p. Z. Salamonowicz. Reszta, t. zn. role Wójta, Piotra i Elżbiety, zasługuje na jedno tylko określenie: krrryminał!

Słowa tego użyłem w teatralnej recenzji po raz pierwszy. Ale mam też nadzieję, że w odniesieniu do Sosnowca będzie to po raz ostatni. Wierzymy w zmianę na lepsze i będziemy się jej ostro domagać.

Zdzisław Hierowski.

„Książki z obrazkami"

Książka, którą dajemy dziecku do ręki powinna mieć wartości wszechstronne i pierwszorzędne. Nieobronne oko i ucho dziecka chwyta od najwcześniejszych lat wrażenia wszystkie, bez wyboru i na tym podkładzie wrażeniowym kształtują się przyszłe kryteria moralne i estetyczne. Książka nie jest dla dziecka fikcją, jest prawdą, wzorem do naśladowania.

To też pisarstwo dla dzieci i młodzieży jest, wbrew powszechnemu niemal przekonaniu, sztuką trudną. Wymaga od autora fundamentalnych wiadomości przede wszystkim z dziedziny psychologii i pedagogiki oraz niezwykłej intuicji artystycznej. Bowiem naprawdę dobrą książką dla dzieci jest utwór, w którym postulat wychowawczy został przeprowadzony bez ograniczeń artystycznych. Piękno jest czynnikiem kształcącym i dlatego artyzm książki dla dzieci jest zagadnieniem również ważnym, jak w literaturze dla dorosłych.

Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik" wydaje cykl pięknych książek dla dzieci w luksusowym wydaniu. Luksus ten polega na zespoleniu wartości literackich z oprawą graficzną i drukarską. Zapewne niewiele rodzin będzie mogło obdarzyć swoje dzieci książką bądź co bądź, drogą. Ale w dobie upowszechnienia kultury piękna książka powinna trafić do najszerszych kół dziecinnych przez biblioteki publiczne oraz świetlice.

Z tego cyklu zbiór prześlicznych wierszy **Hanny Januszewskiej** „Jawor, jawor" osnuty jest na motywach ludowych, znanych i wyśpiewanych co najmniej przez kilka pokoleń. W melodyjnym wierzu Januszewskiej znane tematy zostały przetworzone i rozwinięte w poetycki fantastyczny sposób, nie tracąc jednak nic ze swego prawzoru. Zbiorek ilustrował Szancer, którego stylem ilustratorskim warto by się zająć osobno.

Janiny Porazińskiej „O dwunastu z Zapiecka" są to opowiadania pełne humoru i poezji. Zamiar ośmieszenia wad dziecięcych przeprowadziła autorka z wielkim taktem i znajomością psychiki dziecka. Wierszyki, zwłaszcza z „Justysinych piosenek" utrzymane są w charakterze i rytmice wiejskiej piosenki. Znajomość wsi, jej obyczaju i kultury sprawia, że dzieci przedstawione w opowiadaniach Porazińskiej nie są stylizowane na dzieci wiejskie, są prawdziwe, choć okoliczności, w których występują są na pograniczu baśni. Język prosty, zrozumiały, chociaż poetycki, układa się po prostu sam pod znane wiejskie melodie. Świetna w kompozycji i kolorze jest okładka **Olgi Siemaszkowej** i niemniej ciekawe, choć jednobarwne ilustracje.

W tymże wydawnictwie wyszły wiersze dla dzieci **J. Tuwima**, pod tytułem „Zosia Samosia". Obok nowych wierszyków odnajdujemy tu znanego, pełnego uroku „Słowika" i zabawną żonglerkę słowną w „Panu Tralalińskim". Doskonały w rytmie wierszyk „Warszawa" może się przyjąć „na codzień" w zabawach dziecinnych, podobnie jak używane od dawna „entliczki - pentliczki". Piękne w kolorze ilustracje **Ha-gi**, dają dzieciom to, co je w obrazie najbardziej pociąga: uchwytność namalowanego przedmiotu.

W książce **Lucyny Krzemienieckiej** „Pan Klet i jego klejnoty" ilustrator **Karolak** dał nie tylko ilustracje, lecz ponadto układ i rozwiązanie graficzne. Jest to zresztą najlepszy rodzaj współpracy ilustratora z autorem. Tym razem jednak efekt jest chybiony. Autorka opowiadając prozą i wierszem o panu Klecie, dobrym człowieku, którego poezje zmieniają ciężkie życie sąsiadów w czarodziejską baśń, poszła w kierunku nadmiernej fantastyki i symboliki. Karolak rozbijając tekst rysunkami i podkładając linearne kompozycje pod druk, wzmógł nieczytelność tej i tak trudnej do zrozumienia książki.

Stosowany, specyficzny charakter literatury dla dzieci, narzuca autorowi wiele rygorów i ograniczeń, w doborze tematów i pojęć, uproszczeń kompozycji oraz dostosowania języka. Lucyna Krzemieniecka w swych doskonałych książkach rozwiązała niejednokrotnie ten problem po linii prawdziwego artyzmu ...

Wydawnictwo „Światowid" wznowiło cztery książki tej autorki „Bajdy ciotki Adelajdy", „Baśń o trzech siostrzyczkach", „Z przygód Krasnalka Hałabały" i „Bajeczka z podwóreczka". Książki te są ulubioną lekturą dziecinną. W żywej akcji, pełnej fantazji i przystępnej formie wprowadzają wartościowe elementy wychowawcze: poszanowanie pracy, uspołecznienie człowieka, życzliwość, dobroć oraz uczą dziecko pożytecznych wiadomości. Pod adresem wydawnictwa należy jednak skierować uwagę, że oprawa graficzna jest co najmniej niewspółmierna do wartości literackiej tych wznowień. Zwłaszcza ilustracje do „Trzech siostrzyczek" i „Bajd ciotki Adelajdy" cofają niepotrzebnie dziecko do najbrzydszej, secesyjnej epoki w grafice.

„Pinokia" wznowiło wydawnictwo „Wiedza" w opracowaniu **Wittlina.** Wysoka artystyczna i wychowawcza wartość tej książki polega na atrakcji, którą jest dla dziecka drewniany pajacyk, wyposażony we wszystkie atrybuty prawdziwego dziecka. Pinokio żyje, co do tego nie ma dziecko żadnych wątpliwości i z mnóstwa przygód, perypetii i gałgaństw pajacyka, wyciąga własne wnioski. Dziecko może ocenić słuszność lub niesłuszność postępowania Pinokia, dlatego, że zostało doskonałym podejściem psychologicznym i literackim, związane uczuciowo z bohaterem książki. Rodzicom i wychowawcom, zanim dadzą tę książkę dzieciom, należało by poradzić, aby na własną rękę przeprowadzili korektę stylistyczną, zaniedbaną przez wydawnictwo.

Wznowieniem „Czytelnika" jest **książka Themersona** „Pan Tom buduje dom". Przyjemny, poręczny format książeczki, dobrze graficznie i kolorystycznie rozwiązana okładka oraz groteskowe ale miłe dla oka rysunki składają się na dobrą zewnętrzną całość. Wartość literacka tej książeczki polega na swobodnym połączeniu pierwiastka fantastycznego z pożytecznymi wiadomościami technicznymi. Książka Themersona spełnia warunek bardzo ważny w literaturze dziecięcej: bawiąc uczy.

Na podobnych założeniach oparta jest książka **Janiny Broniewskiej** „Historia toczonego dziadka i malowanej babki". Zabawna historia dwóch drewnianych zabawek jest tylko pretekstem literackim do przystępnego przedstawienia rozwoju kultury. Od dyliżansu do samolotu, od stalówki do maszyny do pisania i od naftowej lampy do epoki radia prowadzi autorka dwie zabawki i małego czytelnika. Akcja książki jest żywa, język barwny i plastyczny. Chcąc dać wierny obraz przemian zachodzących w czasie, autorka wprowadziła zbyt wiele elementów, przerastających niekiedy zdolność percepcji umysłowej dziecka. Uwaga ta odnosi się zarówno do podjętego, a potem porzuconego wątku niesprawiedliwośści społecznej, jak i posłowia, które kończy dzieje drewnianego dziadka i babki a zarazem narzuca wyobraźni dziecka nowy obraz historii współczesnej. W przedstawieniu ludzi bogatych gromadzi autorka wszystkie cienie, bez uzasadnienia logicznego. Przykład negatywny nie działa wychowawczo, nie nauczy dziecka sprawiedliwej oceny zjawisk społecznych ani właściwych form współżycia z ludźmi.

Janina Radwan

1798-1948

W 150 ROCZNICĘ URODZIN POETY

NARODOWE WYDANIE DZIEŁ

ADAMA MICKIEWICZA

pod wysokim protektoratem Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta, na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z dn 5.V. 1945 r., na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

ogłasza

PRZEDPŁATĘ

na Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza

obejmujące w 15-tu tomach, w 4-ch seriach całość spuścizny duchowej Poety.

Tekst krytyczny opracowany na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki staraniem Komitetu Redakcyjnego pod przewodnictwem Leona Płoszewskiego. Wydanie na papierze bezdrzewnym, w okładce półsztywnej.

WARUNKI PRZEDPŁATY SERII PIERWSZEJ

obejmującej całość twórczości poetyckiej Adama Mickiewicza

w 4-ch tomach, o łącznej objętości 1700 stron, w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy

1. Wszystkie 4 tomy serii pierwszej ukażą się jednocześnie w dniu 15 listopada b.r. i będą wysyłane zamawiającym w kolejności zgłoszeń.
2. Cena czterech tomów stanowiących serię pierwszą wynosi w przedpłacie łącznie **800 zł,** płatnych jednocześnie z podpisaniem deklaracji lub też w 4 ratach po 200 zł — w miesiącach: czerwcu, lipcu, sierpniu i wrześniu, albo w dwóch ratach po 400 zł — płatnych w miesiącach: czerwcu i wrześniu — na konto P.K.O. I — 7474. Cena w sprzedaży księgarskiej będzie dwukrotnie wyższa.
3. **Zamawiający** wypełnia deklarację, w której zobowiązuje się do uiszczania całej należności w terminach przewidzianych i przez siebie wybranych i przesyła ją pod adresem:

„CZYTELNIK", INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA, ul. DASZYŃSKIEGO 14.

Deklarację można otrzymać we wszystkich księgarniach

4. **Zgłoszenie** przedpłaty na serię pierwszą nie pociąga za sobą obowiązku zamawiania dalszych serii. Natomiast **zamawiającym serię** pierwszą będą przysługiwały przywileje przy seriach następnych.

Dokładne warunki i terminy ukazywania się serii dalszych będą podane w osobnych ogłoszeniach i prospektach.

„Odra" — Prosimy wypełnić czytelnie!

DEKLARACJA

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię (4 tomy) Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza. Warunki przedpłaty są mi znane. Należność w sumie zł 800 zobowiązuję się wpłacić na konto P. K. O. Nr. I — 7474 w ratach miesięcznych po 200 zł, lub w dwóch ratach po 400 zł albo jednorazowo w miesiącu czerwcu 800 zł.

(niepotrzebne skreślić)

nazwisko .... Miejscowość ....

Imię .... ulica, nr domu ....

Zawód .... Poczta powiat ....

.... (Podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem:

Warszawa ul. Daszyńskiego 14 „CZYTELNIK" Instytut Wydawniczy

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, ul. 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowska 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcji nie wraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253.—Prenumerata mies. 60 zł. kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12. Tel. 30973 wewn. 08. R 18160